MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 51. WARSZAWA, 24 LISTOPADA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

MARNOWANIE SPADKU

ŚMIANO się w całej Polsce przed tygodniem z zabawnej przygody, jaka wydarzyła się krakowskiemu „Czasowi", głównemu organowi przemądrej „konserwy" zachodnio-małopolskiej: poważny ów organ polityczny wydrukował jednego dnia ostre potępienie sprawców krwawej manifestacji na placu Grzybowskim w Warszawie w dn. 10 listopada 1904 r., a nazajutrz z wielką ostentacją umieścił artykuł ministra Piłsudskiego, opowiadającego o tem, jak to on owo pierwsze wystąpienie bojowców organizował. Oczywiście „gaffa" z punktu widzenia dziennikarskiego pierwszorzędna, przewyższająca ten wypadek, który wydarzył się również temuż „Czasowi" przed laty, kiedy to, wskutek zbyt gruntownego zabawienia się nocnego redaktora w „Zielonym Baloniku", ukazał się w dzienniku dzień po dniu ten sam namaszczony wstępny artykuł.

Wypadek obecny ma jednak, oprócz komicznej, również i swoją poważną stronę, odsłonił on znienacka na widok publiczny kulisy polityki konserwatywnej. Stało się tak, jak gdyby podczas jakiegoś przedstawienia podniesiono zbyt wcześnie kurtynę i publiczność usłyszała aktorów, przemawiających nie zdaniami z wyuczonej roli, ale swoim własnym językiem, bardzo od sztuki, którą mieli grać, różnym. Artykuł pierwszy był wyrazem tego, co przywódca konserwatystów o terrorze myśli, w drugim zaś podano do wierzenia całkiem coś przeciwnego, odsłaniając wyraźnie manowce bezideowości, jakiemi polityka konserwatywna chadza. Wewnątrz potępia się bojówki, a na zewnątrz pisze się „Bojowiec" dużą literą. Widok zaiste budujący!

Czytelnicy „Czasu" są od lat dziesiątków przyzwyczajeni do najróżniejszych łamańców, wykonywanych w celu zawieszenia się przy każdej nadarzającej się klamce rządowej; tym mało co już chyba pomoże. Jednakże w ostatnich latach zdołano wciągnąć na tę bezideową drogę poważną część ziemiaństwa innych dzielnic. Na przywódców wysunęli się ludzie, nie mający innych do tego tytułów, jak tylko fawor „władzę dzierżących" i ci cały wysiłek skierowali do uzyskania dla swej warstwy również tylko faworu u prądów radykalnych, dziś będących górą. Zakrzątnęli się koło tego z pozbawieniem wszelkiej godności i bez żadnego miłosierdzia dla religijnych czy społecznych przekonań podkomendnych. Jak na tych faworach wyjdą nawet pod względem czysto materjalnym, nie trudno przewidzieć, natomiast wątpliwe jest, czy szersze koła ziemian, popierających obecną politykę swoich przywódców, zdają sobie należycie sprawę z tego, jak dalece polityka ta zaprzepaszcza sprawę „ziemiańską" w inteligentnej, narodowej opinji, do której przecież, o tem chyba nikt nie wątpi, przyszłość należy. Szkody, jakie przed tą instancją ziemiaństwo ponosi, są wielkie i niewiadomo czy do powetowania.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe często występowało w obronie interesów ziemian i przeciwnicy nasi upraszczali sobie zrozumienie tego faktu, mówiąc że „endecy" bronią obszarników, dających pieniądze

na nich. Takie, uproszczone dla użytku maluczkich zrozumienie rzeczy, trafiało niekiedy również i do przekonania co głupszych rolników, wyobrażających sobie, że pieniądze ich zyskają w razie potrzeby poparcie „endecji". Tego rodzaju praktyczni „statyści" puścili się bez troski na dzisiejsze flukta. Tymczasem jeśli ta niefrasobliwość, z jaką ziemianie odnieśli się do utraty wszelkiego bagażu ideowego, nie wywołałaby w obozie narodowym prądów, że tak powiem rewizjonistycznych, mogłoby to stać się wyłącznie i jedynie z tego powodu, że w najmłodszem pokoleniu ziemiańskiem, tak jak zresztą wogóle pośród młodych, widoczne są objawy coraz silniejszej i coraz bardziej stanowczej reakcji przeciwko bezideowej, egoistycznym interesom materjalnym dyktowanej polityce służalczości i handlu zasadami.

Kierunek narodowy istotnie od chwili wystąpienia na widownię polityczną stawał zawsze w obronie warstwy ziemiańskiej, atakowanej przez demagogję wiejską i miejską. Czyniliśmy to oczywiście w interesie ogólno-narodowym, ceniąc warstwę ziemiańską, jako kulturalną część narodu, na której, zwłaszcza wobec słabości mieszczaństwa polskiego, spoczęła znaczna część zadania przechowywania i rozwoju kultury narodowej w czasach niewoli. Mimo licznych wypadków bierności lub też odchyleń w stronę „trójlojalizmu" i ugodowości, co zresztą ogarniało głównie sferę t. zw. panów i półpanków, dzisiejszych przywódców, historja stwierdzi, że średni ziemianin polski rolę mu przypadłą wypełnił dobrze i zbyt ciężkich zarzutów przeciwko niemu nie podniesie. Tem się też tłumaczy fakt, że w ciągu ostatniego zgórą ćwierćwiecza stronnictwo demokratyczno-narodowe mogło skutecznie powstrzymywać zapędy demagogji: znajdowało nietylko w swojem sumieniu podnietę do tej obrony, ale postępowanie ziemiaństwa dostarczało też argumentów do jej prowadzenia. Naturalnie w wielu kołach ziemiańskich słychać było skargi na to, że jednak nie odwrócono od nich groźby reformy rolnej; koła te jednak nie zdają sobie sprawy z tego, jak wyglądałoby zagadnienie rolne już w r. 1905 i jaki byłby rozmach i zasiąg reformy rolnej, gdyby masy włościańskie w najbardziej uświadomionej części nie były przeszły demokratyczno-narodowej szkoły solidarności narodowej.

Jeżeli jednak ziemiaństwo, stanowiące trzon ugrupowań konserwatywnych, jako warstwy, która również w kulturze politycznej i społecznej powinna przodować, obojętne się staje na dobra duchowe, narodu jeśli zamyka oczy na bezprawie i niebezpieczeństwa polityki narodowościowej, to na jakim gruncie chce rozegrać walkę o byt? Czy na gruncie tylko ekonomicznym, na podstawie lepszego wyzyskania powierzonej sobie gleby? Taki grunt jest oczywiście niewystarczający i na tem oparciu kampanji się nie wygra, nikt bowiem nie jest w stanie zaprzeczyć drobnemu gospodarstwu u nas możliwości rozwojowych, zarówno jak i istnieniu doskonale prosperujących społeczeństw chłopskich na zachodzie. Na utrzymanie placówki, na którą miljony współobywateli spoglądają jako na uprzywilejowaną, trzeba mieć inną jeszcze legitymację, przedewszystkiem moralną. Nie jest to zresztą nic nowego, było tak zdawna i jest obecnie: każdy musi się czemś w społeczeństwie legitymować, tylko nie wszyscy to rozumieją...

Z tego punktu widzenia rzecz traktując, światlejsi ziemianie nie mogą nie dostrzec, że dzisiejsza polityka ich menerów jest zaprzepaszczaniem otrzymanego spadku. Może to być obojętne jakimś mniej lub więcej kosmopolitycznym pankom, ale nie ogółowi ziemian, zrośniętych z krajem i poczuwających się do służby narodowej.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

EUROPEJSKA UNJA CELNA

MODNE dziś hasło Stanów Zjednoczonych Europy, któremu niedawne wystąpienie p. Arystydesa Brianda dodało rozgłosu, jakkolwiek posiada pewien odcień polityczny, jest jednak przedewszystkiem hasłem ekonomicznem, i w tej płaszczyźnie należy je traktować.

Biorąc rzecz konkretnie, chodzi o europejską unję celną, do której prowadzić mają wielopaństwowe porozumienia celne, zawierane pod egidą Ligi Narodów. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że podobne zamierzenie odległe jest i trudne i że jego realizacja nie da się inaczej pomyśleć, jak tylko w drodze stopniowego „rozbrojenia celnego" państw europejskich, przygotowującego, na gruzach dawnych barjer, pełną wolność obrotów towarowych.

Rozpatrzmy genezę tej szerokiej myśli.

* * *

Projekt europejskiej unji celnej powstał na zachodzie Europy, ściślej biorąc we Francji, gdzie też zarówno jak i w Belgji cieszy się największą popularnością, i stamtąd rozpowszechnił się, dochodząc wreszcie do takiego rozgłosu, że mówi się o nim obecnie jako o jednem z kardynalnych zagadnień międzynarodowej polityki ekonomicznej.

Podłożem myślowem, z którego wyrósł ten imponujący plan unifikacyjny, mający uzdrowić życie gospodarcze Europy i stworzyć nowe gwarancje powszechnego pokoju, jest analiza dwuch charakterystycznych zjawisk powojennych, z których pierwsze— to niewątpliwa degradacja ekonomiczna Europy po wojnie światowej, drugie — również niewątpliwa i ciągle wzrastająca supremacja gospodarcza Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Oba zjawiska wypadnie nam pokrótce omówić.

Jakkolwiek w ciągu dziesięciu lat, jakie nas dzielą od okresu wojny światowej, pewien porządek gospodarczy i finansowy ustalił się wreszcie w Europie i jakkolwiek jej życie ekonomiczne weszło pod wieloma względami w warunki ustabilizowane, pomimo tego ogólny rozwój materjalny Europy postępuje powoli, znacznie powolniej od innych części świata. Wykazały to wyraźnie materjały statystyczne przedstawione na międzynarodowej konferencji ekonomicznej w Genewie w maju 1927 roku.

Oto co mówi w tej sprawie prof. Henryk Truchy, wiceprezes „Francuskiego Komitetu Studjów nad Europejską Unją Celną", w odczycie wygłoszonym 14 lutego b. r. w Brukseli:

„Obniżenie nie jest absolutne, ale względne. W całokształcie produkcji światowej i światowego obrotu handlowego, część przypadająca na Europę zmniejszyła się. Raporty, będące dziełem wybitnych ekonomistów, które stanowiły podstawę rozważań na międzynarodowej konferencji ekonomicznej, odbytej w Genewie w 1927 roku, dostarczyły nam pod tym względem dokładnych danych.

„Produkcja surowców w świecie wzrosła w latach 1913 — 1927 o 16 do 18%, a tylko o 4 do 5% jeżeli chodzi o samą Europę. Europa produkowała w 1913 roku 48% ogółu wydobytych materjałów palnych, a teraz część jej spadła do 37%. W 1913 r. dostarczała 52% wyrobów metalurgicznych, zaś Ameryka Północna 42%; obecnie stosunek zmienił się w ten sposób, że na Europę przypada 41% a na Amerykę Północną 51%".

Również zmniejszyła się w latach 1913 — 1927 część przypadająca na Europę w handlu światowym o 14%, podczas gdy udział Ameryki Północnej wzrósł o 28%, udział Azji o 27%, a Oceanji o 15%.

Tych kilka cyfr wystarczy jako dowód twierdzenia, że Europa, wzięta jako całość, znajduje się w zdecydowanym impasie gospodarczym i że utraciła swą dawną, dominującą rolę w świecie. Czy ją odzyska?

Następnem zjawiskiem, łączącem się zresztą ściśle z kwestją omówioną powyżej, jest wzrastająca ciągle potęga Stanów Zjednoczonych. Amerykański imperjalizm gospodarczy poczyna wprost zagrażać samodzielności ekonomicznej pewnych państw europejskich.

Oddajemy znowu głos profesorowi Truchy:

„Jeśli ludy Europy nie porozumieją się" — pisze on — „wówczas nie zdołają się obronić przed niebezpieczeństwem, które znacznie wzrosło dzięki wypadkom zaszłym po 1914 roku, a mianowicie przed niebezpieczeństwem hegemonji amerykańskiej. Stany Zjednoczone osiągnęły taki stopień dobrobytu materjalnego, jakiego nie znał żaden naród w żadnej epoce. Dochodzą one do punktu, w którym społeczeństwo traci kontakt z innemi, zaczyna się uważać za wyższe od innych, i siłą rzeczy dochodzi do imperjalizmu. Są one wierzycielami całego świata, wszędzie mają swoje interesy, swoje dywidendy do pobierania; kontrolują przedsiębiorstwa; rządy mają na swoich usługach. A są to wierzyciele, którzy nie chcą by im płacono w towarach, którzy zresztą obejść się mogą bez naszych towarów, tak że z konieczności należności ich przybierają formę coraz to rozszerzającego się władztwa nad kapitałami przedsiębiorstw europejskich. I to stanowisko przypadło wierzycielom zbyt prędko, by mogli nabyć równocześnie odpowiedniego doświadczenia politycznego i poczucia taktu, które jedynie mogłyby sprawić, że owo stanowisko nie wydałoby się zbyt trudnem do zniesienia dla innych ludów. Jeśli Europa nie porozumie się, a tylko porozumiewając się może się bronić, obawiam się, czy nie pogrąży się w stan gospodarczej pół-lenności, który nie byłby bez niebezpieczeństw dla pokoju świata."

Ten jaskrawy ustęp, będący jednak wiernem odbiciem nastrojów we Francji, należy uzupełnić uwagą o kierunku polityki handlowej Stanów Zjednoczonych. Słusznie napisał prof. Truchy, że są one tym wierzycielem, który nie chce, aby mu płacono towarami. Z jednej strony Stany ciągle zalewają rynek europejski nadmiarem swej produkcji, rolniczej i przemysłowej, z drugiej strony odgradzają się od reszty świata barjerą celną nie do przebycia. Taryfa amerykańska zawsze była w wysokim stopniu protekcjonistyczna, zwłaszcza ostatnia taryfa Fordney Mac Cumbera z 1922 r., ale po obecnej rewizji poziom jej równa się już prohibicji. Rząd waszyngtoński otrzymał w związku z tą nową podwyżką ceł przywozowych noty protestujące 38 państw.

Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju sytuacja stawia państwa obciążone olbrzymiemi długami, przeważnie wojennemi, a więc przedewszystkiem Francję, w położenie niezmierne trudne i drażliwe i rodzi rzeczywiste niebezpieczeństwo uzależnienia ekonomicznego od nowojorskiego ośrodka dyspozycji gospodarczej.

* * *

Obecnie wypadnie się zapytać, dlaczego unja celna Europy ma być właśnie tym podstawowym warunkiem wyjścia z fazy zastoju ekonomicznego i zabezpieczeniem przed imperjalizmem amerykańskim? Oto szereg argumentów:

1. Jednym z warunków rozwoju produkcji kapitalistycznej jest odpowiednio szeroki rynek, czyli obszar nieskrępowanej gry podaży i pobytu, obszar na którym dokonywaćby się mógł swobodny ruch towarów i ludzi.

Stany Zjednoczone, które w liczbie 48 tworzą razem jednolite terytorjum celne, obejmujące blisko 8 miljonów klm. kw. i blisko 120 miljonów ludności — stanowiły i stanowią dostatecznie duży rynek, aby rozwinąć się mogło, przy współdziałaniu innych dodatnich czynników, życie gospodarcze, w sposób nie znany dotąd w dziejach. Przykład amerykański uzupełnić możnaby przykładem Francji po reformach celnych Colberta i Wielkiej Rewolucji oraz przykładem Niemiec, dla których *Zollverein* był punktem wyjścia ich wspaniałego rozkwitu gospodarczego i politycznego zjednoczenia.

Tymczasem Europa, która przed wojną podzielona była na 26 terytorjów celnych, uległa po wojnie światowej dalszemu rozkawałkowaniu, liczba tych odrębnych terytorjów wzrosła do 35, a granice celne przedłużyły się o 8.000 klm. Do tego „rozdrobnienia" dołączyła się powojenna polityka handlowa państw europejskich, polityka zakazów, ograniczeń, reglamentacji i skrajnego protekcjonizmu, która wprawdzie wkrótce zrezygnowała z najostrzejszych środków „bojowych" i która naogół niewiele różni się od polityki handlowej, obowiązującej w Europie przed wojną, jeśli nie brać pod uwagę znacznie krótszych terminów wypowiadania traktatów handlowych, która nie mniej,

w nowych znacznie trudniejszych warunkach, stanowi potężną przeszkodę odrodzenia gospodarczego.

Należy temu przeciwdziałać. Gdy minął „wiek złoty“ Europy i jej przemysłu, trzeba rozpocząć pracę nad dziełem odbudowy i odzyskać utraconą pozycję w świecie, przynajmniej częściowo. Pierwszym warunkiem będzie stworzenie wielkiego europejskiego rynku.

Unja celna Europy objęłaby 35 państw o powierzchni 5.340.000 km. kw. i ludności wynoszącej 363.000.000. Gdy uwzględnimy kolonje państw europejskich, odnośne cyfry kolosalnie wzrosną. Wszystko to zarysowuje nieskończone możliwości.

2. „Rozkawałkowanie“ celne Europy i kurs protekcjonistyczny polityki handlowej przeciwstawiają się również urzeczywistnieniu międzynarodowego podziału pracy czyli idei najlepszego wyzyskania sił produkcyjnych. Pamiętać musimy, że podział pracy stoi w stosunku wprost proporcjonalnym do rozległości rynku i że unja, pomnażając tak wydatnie jego wielkość, gwarantuje tem samem bardziej racjonalne rozmieszczenie kapitałów w różnych gałęziach wytwórczości, przedewszystkiem jeśli chodzi o przyszłe inwestycje.

3. Unifikacja celna Enropy stworzy wreszcie dobre podłoże p)d dalszy rozwój racjonalizacji produkcji i wielkich porozumień w skali międzynarodowej, że wspomnę np. o Międzynarodowym Syndykacie Żelaznym, który, jak wiadomo, obejmuje Francję, Belgję, Luksemburg i Niemcy. Międzynarodowe syndykaty, będące w gruncie rzeczy organizacjami asekuracji od ryzyka, wynikającego z konjunktur, wyrażają tę solidarność interesów, która przekracza granice państwowe, budując na „szerszej“ podstawie ustabilizowane warunki produkcji. To samo dotyczy i karteli.

Wielokrotne zwiększenie rynku wewnętrznego, spotęgowanie racjonalizacji i podziału pracy, rozpowszechnienie porozumień producentów i kupców w skali międzynarodowej — oto środki, które przyczynić się mają do wydźwignięcia Europy z impasu gospodarczego w jakim się obecnie znajduje.

Zjednoczona gospodarczo Europa, wzmożona na siłach — tworzyć będzie blok dostatecznie potężny, aby móc rozpocząć układy na równej stopie ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki i doprowadzić je do zaniechania dotychczasowych metod.

Tak więc mamy tu dwa etapy pracy: jeden — to stworzenie wspólnego frontu Europy, drugi — to organizacja światowej solidarności ekonomicznej, poprzez sprowadzenie polityki Stanów Zjednoczonych do zasad wolnohandlowych.

* * *

Przedstawiwszy genezę projektu europejskiej unji celnej i przytoczywszy główne argumenty jej propagatorów, należałoby z kolei rozpatrzeć krytycznie te efektowne plany ze szczególnem uwzględnieniem polskiego punktu widzenia, opartego na zrozumieniu naszych interesów gospodarczych i politycznych. Będziemy się starali o treściwą analizę.

Apostołom unji odrazu na wstępie można postawić generalny zarzut, że mówiąc ciągle o Europie, o całej Europie, o interesach Europy jako całości, myśleli i myślą przedewszystkiem o jej części, a mianowicie o państwach zachodnich, wysoko kapitalistych i wysoko uprzemysłowionych.

Skoro porzucimy cokolwiek abstrakcyjne założenie o jednolitej sytuacji Europy i wprowadzimy moment zróżniczkowania „wewnętrznego“, wówczas okaże się jasno, że w odniesieniu do pozostałej części państw, nisko kapitalistycznych i mniej uprzemysłowionych, które przytem, zrządzeniem dziejów, uniknęły obciążenia olbrzymiemi sumami długów wojennych, zupełnie inaczej należy oceniać zarówno trudności i niebezpieczeństwa aktualne jak i owe korzyści, jakie wyniknąć mają z unifikacji celnej naszego kontynentu (oczywiście bez Rosji).

Co się tyczy bowiem powojennego kryzysu gospodarczego w Europie, to obejmował on i obejmuje przedewszystkiem państwa zachodnie, które złamały wewnętrzną równowagę ekonomiczną na korzyść przemysłu, uzależniając się tem samem od obcych rynków. Gwałtowne skurczenie tych rynków, głównie pozaeuropejskich, postawiło przemysł krajów zachodnich w sytuację ogromnie poważną, zwłaszcza wobec wysokiego poziomu dobrobytu jaki się tam ustalił. Uboższe kraje środkowo-południowej Europy, przeważnie rolnicze, nie odczuły tego wstrząsu, wynikającego ze zmian warunków zbytu, w sposób tak dotkliwy.

Również imperjalizm amerykański nie wszystkim jednakowo zagraża. Główni dłużnicy Stanów Zjednoczonych znajdują się szczęśliwie na zachodzie Europy. Możemy życzyć szczęśliwego rozwikłania tych kwestyj Anglji, możemy współczuć Francji dotkniętej ostatnią podwyżką taryfy amerykańskiej, skoro na 50 miljardów francuskiego rocznego wywozu, 15 miljardów przypada na luksusowe i półluksusowe gotowe wyroby, dla których rynek Stanów był doskonałem polem zbytu,— tem nie mniej nie możemy uznać tych niebezpieczeństw jako zagrażających Polsce czy szeregowi innych krajów.

Ponieważ więc odmienne „choroby“ trapią poszczególne grupy państw, przeto nie można stosować jednakowego „lekarstwa“, bo to, co pomogłoby jednym, niechybnie zaszkodziłoby drugim. Tak się ma rzecz i z unją celną Europy.

Unja ta—to idea ekspansji przemysłowej państw zachodnich, które racjonalizacja produkcji uzdolnia do masowej wytwórczości, pozbawionej jednak szerszego rynku, to idea specjalnie pomyślanego „doskonałego podziału pracy“, polegającego na tem, że jedni dostarczać będą na wewnętrzny „wspólny“ rynek produkty przemysłowe, pozostali — płody rolnicze.

Stanowisko krajów niedostatecznie uprzemysłowionych, niezdolnych do konkurencji na tem polu, uboższych, z natury rzeczy musi być odmienne. Nadzieję swą widzą one w ochronie celnej, tak jak tamte widzą ją w zasadach wolnohandlowych. To skrzyżowanie interesów jest niewątpliwie przykre, jest jednak niewątpliwie wyrazem rzeczywistości.

Jeśli chodzi specjalnie o Polskę, to niezaprzeczenie posiada już ona znaczne siły gospodarcze, czego najlepszym dowodem chociażby Powszechna Wystawa Krajowa. Nie potrzebuje też obawiać się ekspansji industrjalnej, idącej z zachodu, w takim stopniu, jak inne państwa środkowej czy południowo-wschodniej Europy. Pomimo tego, trudno jeszcze powiedzieć, żeby przemysł polski i jego rozwój był bezpieczny w warunkach europejskiej wolnej konkurencji, zwłaszcza w obliczu coraz znaczniejszych postępów niemieckiego gospodarstwa narodowego, do czego przyczyniają się sami wierzyciele swoją polityką odszkodowawczą.

Z drugiej strony jest rzeczą wątpliwą, czy wolny eksport płodów rolnych stworzyłby należytą równowagę korzyści. Zresztą nie wolno nam zapominać, że z charakterem państwa rolniczego łączy się stan względnego ubóstwa i że niema żadnych danych na to, ażeby rezygnować z aspiracyj przemysłowych, w dużej części już urzeczywistnionych.

Unja celna Europy, prócz zastrzeżeń czysto ekonomicznych, które łagodzi częściowo koncepcja „regjonalizmu celnego“ oraz koncepcja „współczynnika rozwoju przemysłowego“, wywołać musi pozatem i zastrzeżenia natury politycznej. Naiwnością jest porównanie, jako rzeczy w pewnym stopniu współmiernej, związku celnego 48 Stanów Amerykańskich, będących w swej genezie okręgami administracji angielskiej i zamieszkałych w chwili łączenia się przez ludność niemal jednolitą pod względem etnicznym i kulturalnym, z takimże związkiem odrębnych narodów, o ukształtowanych wiekami historji tradycjach.

Pozatem, zważywszy na związek, jaki istnieje między ekspansją gospodarczą a polityczną, należy uznać unję celną Europy za specjalnie niebezpieczną w jej roli pozornej „przykrywki“ takich głębokich sporów politycznych, jak np. niemiecko-polski spór terytorjalny.

* * *

Omawiając propagandę „unjonistyczną“, mieliśmy na myśli zamierzenia „prywatne“, pewne prądy opinji, jakie w niektórych krajach zachodnich dość silnie są ugruntowane (np. we Francji, gdzie za projektem unji wypowiedziały się w drodze ankiety wszystkie niemal izby handlowe). Obecnie warto byłoby uzupełnić nasze rozważania paroma uwagami, poświęconemi zamierzeniom „oficjalnym“, czyli międzynarodowej polityce ekonomicznej, której centrum znajduje się w Genewie.

Rzecz prosta, nie mamy zamiaru kreślić, pobieżnie nawet linji rozwojowej szerokiej działalności ekonomicznej Ligi Narodów. Wystarczy zaznaczenie, że punktem wyjścia międzynarodowej polityki handlowej był punkt 3 słynnej noty Wilsona, a raczej słabe echo punktu 3—art. 23 Paktu Ligi. W zwolna rozrastającej się działalności Ligi i jej Komitetu Ekonomicznego, pewnego rodzaju etap stanowi wspomniana na wstępie Międzynarodowa Konferencja w 1927 r., a konkretnemi wynikami prac jest kilka wielopaństwowych konwencyj, jak konwencja o uproszczeniu formalności celnych z 3 listopada 1923, konwencja antyreglamentacyjna z 8 listopada 1927 r., przy której wejściu w życie piętrzą się jednak olbrzymie trudności, dalej dwa drobne układy o zniesieniu zakazów i zniesieniu względnie obniżeniu ceł wywozowych na skóry i kości z 11 lipca 1928.. Jeśli nawet dodać do tego prace przygotowawcze nad konwencją o traktowaniu cudzoziemców — to przyznać trzeba, że w dziedzinie polityki handlowej dokonano, przy tak znacznym nakładzie wysiłków, — stosunkowo niewiele.

Dopiero ostatnio, czy to pod wpływem rosnącej popularności znanych nam haseł (p. Briand jest honorowym prezesem Francuskiego Komitetu Studjów nad Unją Celną Europy) czy też, co jest prawdopodobniejsze, pod wpływem najświeższych posunięć celnych Stanów Zjednoczonych, na terenie Ligi Narodów zawrzało i zarysowały się projekty, których nie można nie traktować jako etapów wiodących stopniowo (zamierzenia „oficjalne“ cechuje duże poczucie realizmu) do tego stanu rzeczy, którybyśmy nazwali europejską unją celną.

W tem miejscu pozwolimy sobie zacytować ustęp z artykułu „Światowy rozejm celny“, ogłoszonego w tygodniku „Przemysł i Handel“ w zeszycie 40:

„Jednem z naczelnych zleceń ostatniego Zgromadzenia Ligi Narodów jest przyjęty przez nie wniosek II Komisji (ekonomicznej), zawierający m. in. postanowienie w sprawie t. zw. rozejmu celnego, którego ideę rzucił w swem przemówieniu na ostatnich obradach Zgromadzenia p. Willam Groham, prezes *Board of Trade*, t. j. Minister Handlu Wielkiej Brytanji.

„Tak, jak obecnie widać z ogłoszonego tekstu rezolucji, plan postępowania na najbliższą metę ma być w tej sprawie następujący: do dnia 31 grudnia r. b. mają poszczególne państwa, zapytane o to specjalnie przez Sekretarza Generalnego Ligi Narodów, odpowiedzieć, czy skłonne są (*s'ils sont disposées*) do ewentualnego zobowiązania się do niepodnoszenia swych ceł ochronnych w ciągu okresu 2 lub 3-letniego. Państwa, które odpowiedzą twierdząco, będą zaproszone na specjalną konferencję (otwartą zresztą w myśl życzenia Wielkiej Brytanji i dla tych państw, które takiej odpowiedzi nie dały), a która odbyć się ma w zasadzie jeszcze w styczniu 1930 r. Dopiero po zawarciu na konferencji tej układu wielostronnego, ustalającego ów „rozejm celny“ na przeciąg 2 lub 3 lat, rozpoczną się, jak przewiduje program, ustalony w rezolucji Zgromadzenia, stałe obrady nad zniżeniem „kolektywnem“ poszczególnych ceł, których to obrad wyniki będą w rezultacie zgłoszone do zaakceptowania dyplomatycznej międzynarodowej konferencji ekonomicznej, mającej się zebrać gdzieś około 1932 lub 1933 r.“

„Widoczne jest z tego, iż rozejm celny na przeciąg 2 lub 3 lat ma być tylko wstępem do o wiele szerzej zakreślonej akcji kolektywnej w kierunku obniżenia ceł. Dlatego nosi ów projektowany układ właśnie nazwę „rozejmu“, t. j. stanu przejściowego między „wojną“ — obecnem stadjum stałego podwyższania taryf celnych — a „pokojem“, t. j. zastosowaniem w pełni lub przynajmniej częściowo w obrocie europejskim zasad wolnohandlowych“.

Z planami przedstawionemi powyżej należy się poważnie liczyć, tembardziej, że popierają je te wszystkie czynniki gospodarcze zachodniej Europy, które jeśli nie w urzeczywistnieniu unji celnej, to przynajmniej w nawrocie do zasad wolnohandlowych mają swój istotny interes.

Jeżeli chodzi o stanowisko Polski, winna ona w ustosunkowaniu się do powyższych problemów genewskich nie schodzić ani na chwilę z gruntu trzeźwej oceny sytuacji i sumiennego rozważenia wszystkich plusów i minusów, jakieby z projektowanych wielopaństwowych układów celnych wyniknąć mogły dla naszego gospodarstwa narodowego. Nie przesądza to oczywiście w niczem stosunku do projektu unji celnej Europy, który nie tylko u nas wywołaćby musiał zasadniczy opór.

STEFAN SAS

POŁOŻENIE POLSKOŚCI NA LITWIE

GŁÓWNĄ masę ludności polskiej na Litwie stanowi średnie i drobne ziemiaństwo. Reforma rolna, która obniżyła *maximum* stanu posiadania do 80 *ha* (obecnie 150 *ha* dla majątków, które nie zostały jeszcze rozparcelowane), zupełnie zlikwidowała większą własność ziemską. Aczkolwiek gospodarstwo osiemdziesięcio-hektarowe może przy daleko posuniętej oszczędności i fachowej organizacji pracy utrzymać rodzinę ziemiańską i dać jej jeszcze możność egzystacji kulturalnej, to jednak znaczny odsetek ziemian osiedla się w mieście i zajmuje się tam pracą zarobkową dla poprawienia swego położenia materjalnego. Stąd w miastach litewskich tak wielu spotyka się Polaków na różnych stanowiskach, ale posiadających jednak swoje 80 lub rzadziej znacznie 150 *ha*, pozostawione na opiece żony lub dzieci.

Dwory polskie, zniszczone w czasie wojny, obciążone po przymusowej parcelacji wysokim podatkiem i pozbawione lasów (powyżej 25 *ha*), wyglądają nadzwyczaj ubogo. O inwestycjach jakichkolwiek niema mowy: stare, wielkie, niepotrzebne już budynki rozbiera się, by załatać inne. O koniach cugowych i powozach pozostało już tylko słabe wspomnienie. W wielkich dworach 20-pokojowych niekiedy tylko 2 lub 3 ubikacje są w stanie używalności. Z wielkim też wysiłkiem ziemianin może posyłać swe dzieci do gimnazjum polskiego. Niestety, coraz częściej już zdarzają się wypadki kształcenia dzieci w tańszych państwowych gimnazjach litewskich. Wielu już dzisiaj rozumuje w ten sposób: „Majątek mój utrzymuje z trudnością moją rodzinę, ale już dla utrzymania rodzin mych dzieci w przyszłości nie wystarczy. Muszę więc dzieciom zapewnić przyszłość, gdybym je posyłał do szkoły polskiej, to zamknąłbym im dostęp do wszelkiej karjery w państwie litewskiem". Zdarzają się też i wypadki, że obywatel Polak postępuje w ten sposób, chcąc wyrobić sobie markę dobrą u władz, ze strachu przed szykanami i karami.

O sprawach Państwa Polskiego Polacy na Litwie wiedzą mało, przeważnie informowani przez prasę miejscową błędnie. Odporność przeciw wynarodawianiu się wykazuje w wysokim stopniu sfera drobnoziemiańska, reprezentowana w licznie rozsianych zaściankach szlacheckich. Wpływy litewskie dotarły tam w sposób jeszcze słaby. Dzieci jednakże, zmuszone uczęszczać do szkół powszechnych litewskich, ulegają już procesowi litwinizacji. Zresztą zdarzyło mi się zetknąć z dziećmi rodzin obywatelskich tak wychowanemi, że już po polsku w domu nawet nie rozmawiały. Zachodzi wielka obawa, że obecnie uczące się pokolenie dla polskości może być stracone, o ile stosunki wkrótce nie zmieniłyby się na lepsze. Odstępstwa od sprawy polskiej zdarzają się i w starszem pokoleniu. Jako przykład niech wystarczy fakt istnienia „Klubu Szlachty Litewskiej", na którego czele stoi książe Radziwiłł z Towian, do dziś dnia właściciel dość znacznej fortuny ziemskiej i księżna Ogińska. Członkowie tego klubu wyraźnie wypowiedzieli się przeciw Polsce i przyznają się do narodowości litewskiej.

Trzeba być jednak zbyt wielkim pesymistą, aby nie widzieć, że znaczenie kultury polskiej na Litwie jest wciąż czynnikiem bardzo poważnym. Starsze pokolenie litewskie jest na niej wychowane. Rodziny urzędników, działaczy i nawet oficerów litewskich i teraz jeszcze, gdy ich nikt nie słyczy, używają języka polskiego. Autorowie polscy są ciągle bardzo poczytni. W miastach jak Kowno, Poniewież i inne, język polski słyszy się na ulicy wszędzie. A pozatem, z wyjątkiem północno-zachodniej części Żmudzi i obszaru Kłajpedy, można mówić wszędzie po polsku i być pewnym, że się będzie zrozumianym.

Społeczeństwo polskie utrzymuje na terenie Litwy 3 gimnazja: w Kownie (handlowe), Poniewieżu (klasyczne) i Wiłkomierzu (rolnicze). Prócz tego w Kownie istnieje gimnazjum państwowe z polskim językiem nauczania. Dawniej tych szkół na Litwie było więcej, np. w Telszach i Szawlach, powoli jednak znikły z powodu braku uczniów. Istniejące 4 gimnazja polskie, wobec 112 szkół tego typu litewskich stanowią zupełnie niski procent wobec istotnego stosunku ludności polskiej do litewskiej. Szkoły średnie polskie kończy corocznie około 100 maturzystów, którzy w znacznej większości, pomimo surowego zakazu, studjują przeważnie w Polsce. Niewielki stosunkowo procent uczęszcza do uniwersytetu kowieńskiego. Istnieje tu nawet korporacja polska „Lauda". Nauczycieli Polaków w szkołach średnich pracujących jest około 80; tworzą oni „Związek nauczycielstwa szkół polskich na Litwie". W dniu 1 stycznia 1929 r. upłynął termin składania egzaminu z języka litewskiego w zakresie 8 klas, wobec tego wielu osobom rząd odebrał już prawo nauczania. Ustrój szkolnictwa polskiego na Litwie, zgodny z ogólno-państwowym, przewiduje szkołę powszechną 4 klasową która przygotowuje do 1 klasy szkoły średniej, zresztą są to tylko szkoły polskie z nazwy. Są one wyłącznie państwowe i mają one nauczycieli Litwinów, większość przedmiotów wykładana tam jest po litewsku. Nawet języka polskiego przeważnie naucza Litwin, wobec czego trudno mówić o dodatnim wpływie tych szkół na utrzymanie polskości. Największa liczba tych szkół przypada na powiaty: kowieński, wiłkomierski i poniewieski. Przed objęciem rządów przez stronnictwo „Tautininków" istniały jeszcze prawdziwe polskie szkoły początkowe, prowadzone przez Towarzystwo Oświatowe „Pochodnia". Towarzystwo to i teraz stoi na czele ruchu kulturalnego polskiego na Litwie.

Obowiązek nauczania powszechnego tutaj jeszcze nie wszędzie jest wprowadzony, potrzeba na to jeszcze około 1000 szkół nowych. Nikły procent szkół powszechnych wyposażony jest w ziemię od 3 do 6 *ha* i reprezentuje typ szkoły niższej rolniczej. Prawo nauczania w szkołach powszechnych daje ukończenie jednego z 10 seminarjów. Seminarja te są wyłącznie litewskie i wobec tego odczuwa się zupełny brak sił wykwalifikowanych do szkół polskich. Szkoły wszystkich typów na Litwie, tak polskie jak i litewskie, są koedukacyjne.

Brak sił wykwalifikowanych daje się we znaki i w szkolnictwie średniem. Wobec teoretycznej niemożliwości wyjazdu z Litwy do Polski, nie można myśleć o kształceniu przyszłych nauczycieli na uczelniach polskich, a z drugiej strony wyjazd sił z kraju na Litwę też nie da się uskutecznić w żaden sposób przy obecnie panujących stosunkach.

Szawle XAWERY SZWARC

„PROSTY CZŁOWIEK“ O „KRZYWYM“ POECIE

ODRAZU wyjaśniam tytuł. Mam na myśli pana Juljana Tuwima, którego niewątpliwie piękny talent poetycki prowadzi na drogi bałamutne i krzywe, a prowadzi krzywo tylko dlatego, że przez jakieś nieporozumienie wewnętrzne p. Tuwim obstaje przy pisaniu po polsku, gdy tymczasem pisząc po żydowsku, szedłby w tem piśmiennictwie drogą prostą i lojalną i zbierałby same wawrzyny bez nieuniknionych w Polsce cierni.

O tem właśnie skrzywieniu linji pisarskiej p. Tuwima chcę tu rzec parę słów, uważając się jako Polak, za jednego z tych, do których jest adresowany wiersz „Do prostego człowieka“, wydrukowany niedawno w „Robotniku“.

W skrócie i w prozie wiersz ten miałby treść następującą: „Obywatelu polski! Gdy zagrożona w bycie ojczyzna będzie potrzebowała obrońców, a rząd polski ogłosi mobilizację, ty porzuć broń i nie idź do szeregów. Wiedz, że twoje narodowe świętości są pustym frazesem, a wojnę będziesz prowadził na rzecz „brzuchatych panów“.

Patetyczny wiersz p. Tuwima (którym prokuratura już się zajęła) urywa się na radzie dezercji. Poetyczny społecznik nie wywnętrza się z tego, co doradza czynić prostemu człowiekowi po „rznięciu karabinem w bruk ulicy“: czy dać się rozstrzelać, czy zorganizować bunt przeciw państwu, czy też uciec za kordon do bolszewików, czy wreszcie — schronić się pod opiekuńcze skrzydło p. Tuwima, który nieszczęsnego dezertera w jakiś sobie znany sposób z tej imprezy wyratuje. A szkoda, że p. Tuwim nie chce wyciągnąć konsekwencyj dalszych ze swego „biura porad komunistycznych“, bo wówczas dopiero wiedziałby „prosty człowiek“, ile są dlań warte opiekuńcze rady natchnionego (wschodnim wiatrem) poety.

Na trzydzieści miljonów „ludności“ Polski jest w niej dwadzieścia kilka miljonów obywateli, odmiennego od p. Tuwima gatunku, i psychicznego i rasowego. Otóż dla tych miljonów wiersz p. Tuwima, aczkolwiek tak obrazowy w formie a porywający w treści, pozostanie—głosem wołającego na puszczy. Nawet gorzej. Gdyby tak kiedy dopuszczeniem Bożem przyszło do wojny, to te dwadzieścia kilka miljonów nietylkoby nie usłuchały „pacyfistycznej“ rady p. Tuwima, ale mogłyby raczej swe karabiny obrócić właśnie przeciw samemu p. Tuwimowi i przeciw jego niewątpliwie licznym rasowym zwolennikom w wypadku, gdyby ci chcieli przeszkadzać w dopełnieniu rozkazu mobilizacyjnego. A przy tej manipulacji czy nie szkoda, że poszłyby na marne, niezrozumiane i zlekceważone, cenne walory poetyckiej pana tuwimowskiej liry?

Nie pierwszy to już raz rozsiewa p. Tuwim wśród Polaków perły swego pacyfistycznego natchnienia. Pamiętamy dobrze z przed kilku lat wiersz o jenerałach, który bardzo umiejętnie i przekonywająco zohydzał wojsko polskie i mundur oficera polskiego, wiersz o równie wysokiej wartości literackiej i również — chybiony zupełnie co do zamierzonego efektu. Bo chociaż tamtym wierszem prokuratura się nie zainteresowała, jednak armja polska skasowana nie została i istnieje w dalszym ciągu, pomimo wydarzeń krakowskich z ułanami ks. Józefa Poniatowskiego.

Słowem, p. Tuwim, pisząc po polsku, marnuje swój piękny talent i brnie w rozdwojenie, szkodliwe dla siebie, a coraz przykrzejsze dla otoczenia. W kunsztowną formę polskiej poetyki, którą włada tak umiejętnie, wtłacza treść niepolską, duchowi naszemu obcą i wstrętną, a w ten sposób zamiast zachwytu wywołuje wśród Polaków oburzenie i odrazę. A przy tej reakcji niesłusznie, ale niechybnie dzieje się krzywda talentowi poety, który, będąc np. poetą bolszewickim lub żargonowym, zyskałby powszechny aplauz w pokrewnem sobie społeczeństwie.

To marnowanie talentu martwi i boli każdego „prostego człowieka“, rozumiejącego wagę i wartość poezji nietylko jako subtelnej rozrywki intelektualnej, ale jako służby kapłańskiej. My — Polacy przywykliśmy widzieć, że poeta—kapłan tę służbę pełni wobec tłumu wiernych, przed majestatem piękna i dobra, że talentem i sercem prowadzi ich za głosem ich własnego, rytmicznie współbijącego serca. Więc gdyby kapłan — poeta chciał innych prowadzić wbrew ich sercu i sumieniu, to świątynia opustoszeje, a celebrans zostanie przy ołtarzu opuszczony i samotny.

P. Tuwim dobrowolnie skazuje się w Polsce na takie osamotnione trwonienie swego poetyckiego daru, co „prostego człowieka“ tak szczerze martwi, że ten nie może milczeć dłużej i odważa się wypowiedzieć swe proste, nieuczone zdanie w tej materji.

Otóż — należy to raz wyraźnie powiedzieć — p. Tuwim w Polsce karjery poetyckiej na dystans przyszłości nie zrobi. Kwalifikacje ma poważne, ale jednostronne, posiada talent — ale nie posiada polskiej duszy. Kto za lat pięćdziesiąt będzie mówił o Kasprowiczu i Staffie, ten o Tuwimie nie spomni. W historji twórczości ducha polskiego p. Tuwim nie zdobędzie ani jednej karty, ponieważ tam niema miejsca dla uzdolnionych rzemieślników słowa, wyzbytego z walorów wiecznych, t. j. z wartości jednocześnie narodowych i ludzkich. O tem pisano już niejednokrotnie i szkoda, że p. Tuwim nie wyciągnął stąd pożytecznych dla siebie wskazań.

Sarbiewski pisał po łacinie, ale mimo to potomność czci go, jako pisarza polskiego, gdyż dzieło jego ducha było polskie. Forma dzieła literackiego jest tylko zewnętrzną powłoką treści ideologicznej, o określonych znamionach narodowych i rasowych. Gdy w dziele ducha niema, lub gdy dusza jest obca językowej formie, spaczona nienawiścią i przeczeniem, nie pomoże język najpiękniejszy, najbogatszy we wszystkie arkana poetyckiego rzemiosła — dzieło nie ma przyszłości i jest skazane na śmierć w zapomnieniu.

Dlatego też p. Tuwim, piszący bardzo pięknie po polsku, lecz w duchu Polakom obcym i wstrętnym, nie będzie uznany przez pokolenia potomne za pisarza polskiego. Sam zresztą p. Tuwim w doskonałem tłumaczeniu rosyjskiego „Słowa o pułku Igora“ jak również w niezmiernie suggestywnym obrazie Rosji p. t. „Wielka Teodora“ dał świetny dowód, że w duszę rosyjską wczuć się potrafi nierównie lepiej, niż w polską.

Czy to nie jest poważną wskazówką orjentacyjną dla p. Tuwima, żeby przestał pisać po polsku, a postarał się o zaadaptowanie siebie przez Rosję, gdzie ma znacznie więcej szans na nieśmiertelność?

Ale p. Tuwim ma przed sobą zadanie jeszcze szczytniejsze: pisać w żargonie żydowskim. Wszak to nietylko karjera literacka — to wielka misja patrjotyczna dla żyda z takim talentem!

Żargon nie może dotąd stać się językiem literackim, ponieważ jest wyrazicielem tylko interesów doczesnych, a nie wiecznych spraw ducha. Żargon

wegetuje, koszlawieje i krzepnie w powijakach dziecięcej nieudolności i słabo pokostowanego barbarzyństwa, gdyż wypowiadają się w nim jedynie ludzie małej duszy i miernych uzdolnień. Podnieść gwarę do godności mowy narodowej może tylko genjusz, ale większe talenty przygotowują grunt do tej przemiany. P. Tuwim ma talent dostatecznej miary do tego zadania. Pomyślmy, jak szczytne posłannictwo mógłby on wypełnić, uszlachetniając koślawe ubóstwo gwary żydowskiej i zbliżając ją do wyżyn języka literackiego, coby mu się niewątpliwie udać musiało, gdyż w tym wypadku już nie byłoby rozterki między formą a treścią. Zaćmiłby p. Tuwim wszystkich Aszów i Opatoszów i przysłużyłby się dzielnie i rzetelnie swemu prawdziwemu społeczeństwu, którego jest synem, a nie pasierbem. Zyskałby pomniki i niezwiędłą chwałę, jako *pater patriae* żydowskiej. A stałoby się to ku zadowoleniu wszystkich: żydzi byliby szczęśliwi, że mają prawdziwego poetę, Polacy byliby niemniej szczęśliwi, że p. Tuwim nareszcie dał spokój polskiemu poetyzowaniu.

Dzisiaj polskie społeczeństwo nie może słuchać obojętnie, gdy p. Tuwim nazywa „odwiecznem kłamstwem" obronę ojczyzny, obronę „chwały i rubieży, ojców, pradziadów i sztandarów", gdy miesza z błotem i z „naftą" — „bohaterów i ofiary". Ale to tylko dlatego, że pisane to jest po polsku. W żargonie żydowskim i wśród społeczeństwa żydowskiego — jakieby to wszystko mogło być doskonale na swojem miejscu! I wstręt do polskich „kolorowych godeł" do wszystkich sztandarów oprócz czerwonego; i jednaki stosunek uczuciowy do „bliźnich" z każdej ziemi; i defetystyczne obrzydzenie do polskiego munduru wojskowego; i modny dzisiaj „pacyfizm", tak wiele mający pokrewieństwa z pozornie pogardzoną „naftą", i nienawiść do „brzuchatych panów", i cyniczny stosunek do „bogoojczyznianych" haseł—wszystko to — tam — byłoby zrozumiane, odczute, pochwalone i uwielbione! Jakżeby łatwo zdobył p. Tuwim laury żydowskiego narodowego wieszcza i proroka!

Zupełnie poważnie i szczerze radzimy p. Tuwimowi, by nareszcie rzucił polszczyznę, pozostawiając ją „brzuchatym panom" i „prostym ludziom" i zechciał płody swego rasowego ducha przyoblekać w najodpowiedniejsze dla nich — ciało żarganowe.

Wilno JAN BUŁHAK

Z CYKLU: „BARWY I DŹWIĘKI"

CZERWIEŃ

Czerwień to ognia krwawy, najkrwawszy z wszystkich śpiew!
Czerwień to krwi płomienny, najpłomienniejszy zew!
Czerwień to przeraźliwy krwawo ognisty gniew!
Czerwień to wiew miłości i nienawiści wiew!

Dyszą czerwienią wargi, całunków budząc szał!
Spływa czerwienią rana otwartych nożem ciał!
Trzaska czerwienią wulkan, gdy lawy huknie strzał!
Bucha czerwienią pożar, płomieni wzniósłszy wał!

Bo czerwień, jak dynamit, rozsadzić pragnie świat!
Bo czerwień w żar go wciąga, by pod tym żarem zbladł!
Bo czerwień na nim ust swych zostawia siny ślad!
Bo czerwień śmierć mu niesie w przepychu jasnych szat!

Strach jest czerwieni dotknąć — pieszczotą śmiałych rąk!
Strach w czerwień wgryźć się wzrokiem — na długi czasu ciąg!
Strach słuch czerwienią poić — syczącą jadem wkrąg!
Strach woń z czerwieni wdychać — rozkoszy woń i mąk!

O nie kuś nas, czerwieni, winami z twoich czasz!
Ostrożnie nam czerwieni, świeć żagwią swoją w twarz!
Upałem swym, czerwieni, zdaleka tylko parz!
Zgaś blaski twe, czerwieni, bo w nich spłoniemy aż!

JAK ŻÓŁTOŚĆ JEST ZACHŁANNA...

Jak żółtość jest zachłanna: żółknące jesienie
zagarniają nas liśćmi i wiatrem nas krztuszą
żółte plaże, palone przez słońca płomienie,
syczą i aż wprost dławić chcą piasków swych suszą.

Jak żółtość jest fałszywa: żółto-miodne ule
pachną, lecz w nich bzykliwe tną pszczoły i osy;
żołto-włosych zbóż łany niby głaszczą czule,
lecz i kłują ostremi, wąsatemi kłosy!

Jak żółtość jest drapieżna: żółto-blaskie, z witryn
strzelające topazy, ból nam krzeszą w oku;
żółto-skóre, łyskliwe, chłodne piłki cytryn,
gryzą nas, niby żądłem, jadem swego soku.

Jak żółtość jest złowieszcza: żółtopienne fale
niosą w paszczach ryk, burzę zwiastujący świetnie;
żółtowełne chmur kłęby, nabrzmiałe wspaniale,
są pochwą, którą z świstem grom-sztylet rozetnie!

MAGJA ZIELENI

Zieleń wiosny mnie tak uderzyła swem nagłem wtargnięciem [szalonem,
Że mi wszystko się odtąd wydaje—zielonem, zielonem, zielonem!

Że nie widzę dróg ziemi szarej, co ma skórę przez skwar wy- [suszoną:
Widzę na niej z soczystych łąk szatę — zieloną, zieloną, zieloną!

Że nie widzę błękitów, rozwianych na kształt modrej w górze [zasłony:
Widzę z liści na niebie pióropusz — zielony, zielony, zielony!

Że nie widzę wód, co zastygły na szkło tafli blaskami srebrzone:
Widzę drzew w niej, jak w lustrze, odbicie — zielone, zielone [zielone!

Że nie widzę powietrza, pełnego lekkich, świetlnych drgań nie- [zliczonych:
Widzę loty gałązek o skrzydłach — zielonych, zielonych, zielo- [nych!

Że nie widzę ludzkiego teatru, ani barwnych scen na nim grania,
Widzę zieleń, i zieleń, i zieleń, co wszechświat mi cały zasłania!

OTO KOLOR NIEBIESKI...

Oto kolor niebieski: ten kolor mozajki
jezior śpiących, co leżą, nawet bez westchnienia;
Kolor małej, jak plamka, niezapominajki
i kolor ukojenia...

Oto kolor niebieski: ten kolor przezroczy
śródziemnych mórz, do których chłód prawa nie rości;
Kolor błękitów, wlanych w ciepłe dziecka oczy
i kolor — anielskości...

Oto kolor niebieski: ten kolor lazurów
nieba, co ziemię w słodkie chwyciło objęcia;
Kolor miękkiego lotu serafińskich chórów
i kolor — Wniebowzięcia...

ANNA SŁONCZYŃSKA

GŁOSY

PAMIĘTAMY

WODCZYCIE na temat naprawy konstytucji, wygłoszonym przez p. prezesa Rady Ministrów, Świtalskiego, właśnie w tym czasie, kiedy na ulicach Warszawy odbywały się burzliwe manifestacje przeciwko ustępstwom na rzecz Niemiec, poczynionym przez rząd w traktacie z d. 31.X. r. b. [1]), p. szef Rządu powiedział między innemi, co następuje:

„Czasami zdaje się, że najlepszą kwalifikacją dla pewnych polityków w Polsce jest opaska na oczach, pakuły w uszach i pamięć kilku miesięcy nieprzekracająca. Tak uzbrojeni, mogą się beztroskliwie oddawać namiętnościom chwili i cudnym swym marzeniom wodze puszczać. Watą szczelnie zakneblowane uszy nie chcą przypomnieć sobie ani huku armat, ani wiwatów na cześć Marszałka Piłsudskiego, gdy do Warszawy niespełna lat temu cztery wchodził. Rychło patrzeć, a wypadki majowe do legendy zostaną zakwalifikowane".

Możemy p. prezesa Rady Ministrów upewnić, w imieniu całego narodowo myślącego i czującego odłamu społeczeństwa, że tak nie jest. Pamiętamy najdokładniej maj roku 1926, pamiętamy wszystko, co się wówczas działo, wszystko z najdrobniejszemi szczegółami.

Obóz narodowy w Polsce nauczył się mieć dobrą pamięć. Nie zapomnimy niczego.

UCZCZENIE WEYSSENHOFFA

NAGRODĘ literacką miasta Poznania za r.b. otrzymał Józef Weyssenhoff.

Stało się zadość opinji powszechnej. Świadomi zwłaszcza dziejów literatury, odkąd weszły w Polsce w zwyczaj nagrody literackie, gdy mowa była o nagradzaniu powieściopisarzy, na pierwszem miejscu stawiali od początku Weyssenhoffa. Miasto stołeczne, znalazłszy się pod wpływem mieszanych uczuć narodowych i wyobrażeń o literaturze, nie zdołało sobie tego uświadomić, a inne miasto b. Kongresówki, steroryzowana Łódź, po śmierci tragicznej swego burmistrza Cynarskiego, nastawiło swoją wiedzę o literaturze polskiej w ten sposób, że nagrodziło żyda, poprostu zbolszewizowanego żyda.

Jedyną nadzieją na korekturę stosunków i obyczajów w Polsce pokładamy w Poznaniu, które zachowało postawę polską. Według planu logicznego pierwszą nagrodę Poznań przeznaczył dla przedstawicieli literatury politycznej, drugą dla historycznej, trzecią dla literatury polskiej ofiarował Weyssenhoffowi.

Opinja publiczna z uznaniem i radością uchwale komitetu Rady m. Poznania przyklasnęła. Weyssenhoff, talent rasowy, pisarz harmonizowany tętnem ducha narodowego, artysta kulturalny, przypada sercu polskiemu tak, że bez dzieł jego Polska czułaby się w dobrach swoich uszczuploną.

To żywe poczucie własności, udzielające się od dzieł społeczeństwu, jest miarą wartości narodowej pisarza.

[1]) Wiadomości i komentarze o tych manifestacjach, podane w „Gazecie Warszawskiej" dn. 20 b. m., zostały w całości skonfiskowane. Skonfiskowano również opisujący zajścia dodatek nadzwyczajny „Akademika Polskiego".

Stąd sława pisarza i wszystko, co go dobrego spotyka, jest darem dla miłości własnej narodu i jego radością.

Podzielając tę radość, witamy w autorze „Podfilipskiego", „Sobola i Panny", „Puszczy", „Hetmanów," „Jana bez ziemi"—witamy laurata zasłużonego.

BRAK KULTURY

PANOWIE literaci, co wy z tej Warszawy robicie! Przecież tutaj udusić się można z zaduchu, właściwego nieprzewietrzanej traktjerni, albo sali wiecowej. Skarżycie się na upadek literatury, ale nie widzicie, że wy sami jesteście sprawcami tego upadku.

Przytoczę przykład. „Świat", ilustracja na welinowym papierze, informująca czasami o literaturze bieżącej, daje notatkę o książce Z. Wasilewskiego „Pieśń w górach", zupełnie zresztą poprawnie informującą o treści książki. Ale tą notatkę oprawoino z przodu i z tyłu widocznie inną ręką, oczywiście redakcyjną, w takie zastrzeżenia:

— „Niezmiernie trudno jest sądzić pisarzy, zajmujących się zagadnieniami kultury, a czynnych politycznie".

Dlaczego? — pytamy zdziwieni. — I taką mamy odpowiedź:

— „Rozumowanie słuszne, oparte na rzetelnej trosce i metodycznie ugruntowane, w rezultacie zdążają zawsze do potwierdzenia chwilowej konjuktury politycznej, doraźnej jakiejś akcji. Utylitaryzm ten odstręcza, a rzecz sama należałaby do polecenia(?) godnych refleksyj, do ujęć płynnego życia głębszych, wnikliwszych"...

Jednem słowem: Autor może rozumuje dobrze, w sposób metodycznie ugruntowany, rzecz sama godna uwag, ale odstręcza od niego to, że jednocześnie jest czynny politycznie. Ta okoliczność każe przypuszczać, że kto inny ująłby tę rzecz głębiej i wnikliwiej.

— Ale — pytamy — jak ta uwaga wiąże się z książką, poświęconą psychologji twórczości poetyckiej, pozostającej pod czarem gór? Gdzie w niej jest mowa o polityce?

Na to odpowiedzi niema. Natomiast po notatce znowu taki dopisek:

— „Książka Z. W. mogłaby pociągnąć nawet co wrażliwsze umysły. Jej słabizną pozostaje nastawienie polityczne autora, zawsze czujne na potrzeby stronnictwa(!), poświęcając swoje zadumy dla utylitaryzmu"...

Autor tej uwagi chciał zapewne powiedzieć:

— Dobrze, dobrze — ty sobie gadasz o górach i wogóle o stosunku twórczości poetyckiej do przyrody tylko dla tego, żeby przeciwstawić swoją ideę idei uniwersalistycznej, która usuwa zagadnienia rodzimości i pierwiastka narodowego w szuce. My zaś właśnie jesteśmy „uniwersaliści" i dla tego książka ta jest dla nas wstrętna.

Byłoby to również stanowisko polityczne (i utylitarne), wiadomo bowiem, że zajmują je ci, którzy walczą z nacjonalizmem, obozem narodowym, z ideą państwa narodowego i t. p. Ale byłoby to zrozumiałe i nawet poważne. Pominięcie zupełne tematu literackiego i przyczepienie wywodu tylko do nazwiska, autora dla tego tylko, że w swoim światopoglądzie ma też swój pogląd polityczny—to jest brak kultury to parafjańszczyzna.

Krytyk, mający przed sobą książkę poświęconą zagadnieniu kultury estetycznej, bający literatowi o utylitaryzmie, konjukturze w polityce i stronnictwie, daje dowód jakiejś nadmiernej drażliwości politycznej, ale — co gorsza — dowód, że znalazł się pierwszy raz w tej dziedzinie zagadnień i nie wie, jakim językiem o nich mówić.

Nie o autora danego chodzi, ale o Warszawę, o jej atmosferę literacką, o poziom pracy. Co wy z tej Warszawy zrobiliście, podjadki cywilizacji! Przecież w tej Warszawie okrągło sto lat temu pisał Maurycy Mochnacki o literaturze i umiano go czytać i nikt temu politykowi nie gadał o utylitaryzmie. Polityka narodowa nie hańbiła wtedy nikogo, jak dzisiaj. Bo i literatura była narodowa. Nauczyliście się wstydzić obojga, a oduczono was myśleć i o polityce i o literaturze.

Darować raczej można nieuczciwość, że się wmawia książce to, czego w niej niema. Ale braku kultury, ale tego, że się żyje wśród ludzi, z którymi rozmawiać nie sposób, — tego odżałować trudno.

Z. W.

WYJAŚNIENIE

Otrzymujemy list następujący:

Mam nadzieję, że Szanowna Redakcja nie odmówi umieszczenia następującej notatki:

W Nr. 50 „Myśli Narodowej" został przedrukowany z „Kurjera Poznańskiego" artykuł p. Dr. Celestyna Rydlewskiego o Masonerji w Polsce. W tej ciekawej notatce zauważyliśmy błąd historyczny, mogący bałamucić pojęcia o masonerji. Mianowicie Dr. C. Rydlewski, chcąc pogodzić katolickość Kościuszki i Dąbrowskiego z faktem przynależności ich do loży, twierdzi, że „dopiero w r. 1813 zakazane zostało katolikom należenie do lóż masońskich". Otóż to jest historyczny błąd. Zakaz należenia do masonerji dla katolików i to pod karą wykluczenia z Kościoła był wydany już przez papieża Klemensa XII w bulli *In eminenti* z 28 kwietnia 1738 r. Zakaz ten nie był nigdy cofnięty, owszem był potwierdzany wielokrotnie przez papieży, w tej liczbie i Piusa VII w r. 1814 (nie 1813).

Łączę wyrazy poważania

KS. J. URBAN S. J:

ZE ŚWIATA

PO ZAJŚCIACH W PALESTYNIE

MAŁE pisemko *Veritas* podało niedawno obszerny artykuł, wychodzący z kół angielskich, dotyczący przyczyn rozruchów Palestyńskich. Artykuł jest niewątpliwie interesujący.

Korespondent *Veritas* odnosi te przyczyny do ostatniego kongresu wszechżydowskiego, jaki się odbył w sierpniu b. r. w Zurychu i do walk międzypartyjnych stronnictw żydowskich.

Jak wiadomo, w Zurychu nastąpiło połączenie z ruchem syjonistycznym opozycji żydowskiej, która „pod wodzą nieżyjącego już dziś miljardera nowojorskiego Jakóba Schiffa z Banku Kohn, Loeb i spółka i również niedawno zmarłego Ludwika Marshalla z Amerykańskiego Żydowskiego Komitetu widzieć chciała siłę żydostwa w ruchu międzynarodowym. Połączenie to przygotowywało się od 1922 r., od 7-miu lat opozycja robiła syjonistom awanse, otrzymując nawzajem pewne koncesje. Ze strony syjonistów zwolennikiem połączenia był przywódca syjonizmu Weizman oraz stojący na czele ruchu syjonistycznego w Ameryce Brandeis, przeciwnikami zaś Rabbi Stephen Wise (ongiś doradca Wilsona) oraz Wł. Żabotyński. Pomiędzy tymi dwoma kierunkami syjonizmu istniały już i przedtem nieporozumienia na tle podziału funduszów Keres Hayesed, obecnie zaś, gdy niepożądany dla kierunku, reprezentowanego przez Wise'a i Żabotyńskiego, fakt połączenia został dokonany, Żabotyński, który już w 1920 r. zmierzył swe wpływy na masy żydowskie w Palestynie, organizując rozruchy przeciw Arabom, postanowił wywołać rozruchy znowu, dyskredytując w ten sposób w oczach Żydów Weizmana i stojący w sprawie palestyńskiej poza Weizmanem rząd angielski.

W świat poszły jednocześnie skargi o prześladowaniu Żydów przez Arabów i napaści na rząd angielski, podczas, gdy krew arabska i angielska wyrównywała porachunki międzypartyjne żydowskie.

M. W.

WYCHOWANIE NARODOWE

NA LEWICY NAUCZYCIELSKIEJ

DWA sprzymierzone ze sobą lewicowe związki nauczycielskie (Zw. Pol. N. Szkół Powszechnych i Zw. Zawod. Naucz. Pol. Szkół Średnich) urządziły w lipcu r. b. „kongres pedagogiczny" w Poznaniu, którego rezolucje dotychczas w całości nie zostały ogłoszone; wiadomo jednak, że głównym tematem była na nim sprawa szkoły jednolitej, traktowana w myśl haseł radykalizmu międzynarodowego. Na zjeździe tym wygłosił znany nam już referat o ideale wychowawczym szkoły polskiej*) p. minister dr. Sławomir Czerwiński. Przewodniczący zjazdu w przemówieniu inauguracyjnem stwierdził z tego powodu z zadowoleniem, że „prace (p. Ministra W. R. i O. P.) w swoich zamierzeniach spotkały się z ideologją Zw. P. N. S. S." („Głos Nauczycielski" Nr. 26). Referat p. ministra ogłoszony w urzędowem czasopiśmie „Oświata i Wychowanie" (Nr. 4), jałowością swą musiał zrobić zawód nawet przeciwnikom obecnego kierunku rządowego, którzy szukali w nim podstaw do poważnej dyskusji czy też polemiki na donosły temat ideału wychowawczego w dobie obecnej. Był to jeszcze jeden dowód braku wszelkiej idei przewodniej w obozie rządowym, wszelkiej poza kultem jednostki, zastępującym samodzielne myślenie (po co się wysilać, kiedy ON myśli za wszystkich!). Bieda tylko, że młodzież dojrzalsza nie chce poprzestać na takim ideale—„studienty niedawolnyje prawitielstwom" szerzą „bunty" „padają plackiem przed stołem, na którym silni tego świata spisali Traktat Wersalski a... potem butnie biją szyby w oknach sklepów i mieszkań słabych żydów poznańskich" (słowa mowy p. ministra). Ale nauczycielstwo dwóch bratnich związków czuwa, aby usunąć te „ślady niewoli". Na kongresie poznańskim radzono „nad rewizją i reformą wychowania publicznego". O kongresie tym powiada „Głos Nauczycielski" (Nr. 34), że „stanowi on z jednej strony zamknięcie i syntezę tego, co już zostało dokonane przez dotyczasowe placówki pracy pedagogicznej i ustrojowo szkolnej w Związku, jak komisję Obrony Szkoły Jednolitej, z drugiej jest punktem wyjścia dla dalszych badań w myśl zagadnień i postulatów, zgłoszonych przez referentów kongresu. Głębsze przeoranie tej treści i stopniowe wcielanie jej w życie wymaga olbrzymiej i gruntownej pracy. Pierwsze miejsce zajmuje tu zasadniczy referat Ministra O. P. p. Czerwińskiego: „O ideał wychowawczy". O tezy tego referatu, przemyślane i przedyskutowane przez najszersze kręgi związkowe oprzeć się musi, jako o idee na-

*) Patrz „Myśl Narodowa" Nr. 46 art. wstępny.

czelne, cała dalsza planowa akcja Związku P. N. S. P. w zakresie wychowania obywatelskiego".

Na tym odcinku zatem—sielanka!

Na innych jednak nie jest tak pogodnie. Członkowie Zw. P. N. S. P., w którym do dziś dnia mimo czysto sanacyjnej „góry" nie wygasły dotychczas wpływy Wyzwolenia i P. P. S., brali w r. 1926 mniej lub więcej czynny udział w przewrocie, wciągając niekiedy nawet swych uczniów do walki. O tem trzeba będzie jeszcze pomówić. Obecnie jednak faktem jest, że zmiana nastrojów w stosunku do rządów pomajowych, jaka zapanowała w dwóch wspomnianych stronnictwach, ma także oddźwięk w Związku. Wyraża się to w coraz to bardziej otwartem mówieniu o bolączkach, które przez czas pewien były przemilczane, lub też traktowane dyskretnie. „Osławiona ustawa sanacyjna", za którą ciągle atakuje się ministra Grabskiego, pozostaje jakoś ciągle dotychczas w mocy, niezależność szkolnictwa od władz administracyjnych, której „wywalczenie" przypisuje sobie Związek, jest faktycznie przekreślona, a istnieją tendencje do zniesienia jej formalnego, słynne rugi „dla dobra służby" zaczęły dotykać nietylko „endeków" (na co znalazłoby się usprawiedliwienie!), a wreszcie okazało się, że paląca sprawa budownictwa szkół powszechnych utknęła na martwym punkcie—i to właśnie od r. 1926. To też przeglądając tylko wstępne artykuły „Głosu Nauczycielskiego" z ostatnich miesięcy napotyka się na alarmujące tytuły: „U progu katastrofy szkolnej" (Nr. 27), „Wydawnictwa, które biją na alarm!" (Nr. 28), „Kto za to odpowie?" (Nr. 29), „Zadania nauczycielstwa wobec zbliżającej się kastrofy szkolnej" (Nr. 30), „Pod adresem władz administracji politycznej" (Nr. 33). Padają ostre słowa z ust wiernych.

I drugi Związek objawia niezadowolenie na swój sposób. W Związku Zawowodowym Naucz. Szkół Średnich skupia się nie tyle liczna, co radykalna grupa nauczycielstwa, do której zalicza się m. in. p. Stefanja Sempołowska, Wł. Spasowski i t. p. Złączywszy się ze Związkiem P. N. S. Powszechnych, znaleźli ci radykali oparcie w masie (którego brakło im we własnej organizacji) robiąc równocześnie piękny gest demokratyczny. Przeglądając licho redagowany organ tej organizacji „Ogniwo" z r. 1928, widzi się niewątpliwie, że Związek bardzo gorąco sprzyjał wówczas rządom pomajowym; świadczy o tem choćby takie znamienne „zwracanie uwagi" nu pewnego ks. katechetę, który ośmielał się wyrażać bez należytego entuzjazmu o wysoko postawionej osobistości. A teraz co za zmiana tonu! Powakacyjny Nr. 7 (wrzesień) „Ogniwa" rozpoczyna się od artykułu: „Do ogółu nauczycielstwa i pracowników pedagogicznych", którego pierwsze zdanie brzmi posępnie: „Rozpoczynamy nowy rok w szkole średniej pod znakiem coraz większego rozstroju i upadku". Rzecz ciekawa, jakie są tego motywy, a raczej jaki jest kąt patrzenia redakcji „Ogniwa" na fakty ogólnie znane, jak gnębienie szkolnictwa prywatnego, rugi i t. p.

Po pierwsze—zarzut słuszny w zasadzie, że opracowywanie programów przez Ministerstwo W. R. i O. P. odbywa się w sposób biurokratyczny, nie uwzględniający opinij nauczycielstwa,—zapomina się tylko, że ten system może ma na celu nałamanie życia właśnie do doktryny, propagowanej przez Związek i że uwzględnienie szerokiej opinji nauczycielskiej, nietylko związkowej, doprowadziłoby do wyników dla radykalnych reformatorów niepomyślnych.

„Ustawy i zarządzenia często sprzeczne z sobą powiększają coraz bardziej obfitą literaturę nieoczekiwanych, nieżyciowych, nierealnych pragnień, zamierzeń i okólników". Tak mówi „Ogniwo" mimo, że dwóch ministrów z kolei publicznie zapewniało o swej odrazie do biurokratyzmu.

„W dziale programów i zarządzeń odnośnie organizacji szkolnictwa średniego od dnia 2 stycznia M. W. R. i O. P. wydało szereg przepisów i okólników, potęgujących zamęt w szkole, krzywdzących nauczycielstwo, a świadczących dobitnie, że zasiedziała w Ministerstwie reakcja w dalszym ciągu trzyma ster rządów" (!!).

Zmiany w programie gimnazjum niższego w niczem nie zmieniły dawnego stanu rzeczy, nie usunęły zapory między szkołą powszechną i średnią, konserwując galicyjską „czapkę" (*horrendum!*).

Mówiąc o zapowiedzianych redukcjach materjału naukowego, autorzy artykułu powiadają, że „albo tych redukcyj niema, albo jak w nauce historji i literatury został wyrzucony materjał, wprowadzający młodzież w sferę życia współczesnego, albo dzieła Słowackiego, nie miłe wychowankom Puzynów (!)."

Dalej mówi artykuł o usunięciu ze szkół średnich rysunku i śpiewu, o regulowaniu przez Kuratorów „górnej granicy tygodniowej liczby godzin", jako polu do nadużyć i zamętu.

„Rzeczywistość jest jednak stokroć groźniejsza" od okólników, a górne słowa władz szkolnych nie znajdują bynajmniej odpowiednika w realnych czynach, często zaprzeczających lub podkopujących publiczne oświadczenia najwyższych przedstawicieli władz szkolnych, oraz uchwały naszych ciał prawodawczych".

„Szkoła państwowa jest zmaltretowana przez ustawę sanacyjną, ciągle jeszcze pomimo solennych obietnic obowiązującą..."

„Ograniczona szeregiem nowel pragmatyka służbowa staje się coraz bardziej fikcją. Dowodzą tego coraz częstsze przenoszenia na prowincję; zwalniania przed końcem nawet roku szkolnego, nieogłaszanie konkursów na wakujące posady nauczycieli i dyrektorów, obsadzanie kierowniczych stanowisk w szkole drogą protekcyj".

Jedynem może przeniesieniem w stan nieczynny, które opinja polska przyjęła z uznaniem, było zwolnienie p. Wł. Spasowskiego, pod którego skrzydłem opiekuńczem gnieździła się organizacja komunizująca i antyreligijna. Zwolnienie nastąpiło na podstawie dokumentów, ogłoszonych w „Gazecie Warszawskiej", które przytoczyt później p. Artur Górski w „Liście do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej" (Warszawa, Dom Książki Polskiej, 1929). Równocześnie jednak prawie nastąpiło zwolnienie zasłużonego dyrektora gimn. im. Stefana Batorego w Warszawie, p. Rudzkiego, które wstrząsnęło opinją publiczną. „Ogniwo" boleje widocznie szczególnie z powodu pierwszego tylko z tych faktów.

„Najboleśniejszy cios zadano szkole średniej przez podważenie naczelnego postulatu całego nauczycielstwa—postulatu niezależności szkoły od władz administracyjnych i kościelnych (!). Odmowa przysięgi religijnej, donos tego lub owego pisma reakcyjnego (czyżby „Głos Prawdy" zaliczał się do pism reakcyjnych?! uw. ref.) na zasłużonych działaczy na polu pedagogiki wystarczają, by ściągnąć na głowy pracowników szkolnych najostrzejsze represje aż do dymisji włącznie. Widocznie nauczyciel i pracownik szkolny nie może mieć żadnych przekonań, ani nawet prawa mówienia, ma być ślepem narzędziem w rękach władz szkolnych".

„Twierdzimy, że poważny nauczyciel-pedagog z przekonań osobistych nie czyni i nie może czynić propagandy w szkole. Ale szkoła dobra nie potrzebuje i nie powinna zajmować się śledzeniem, ani gwałceniem przekonań osobistych poważnych pedagogów, którzy szkoły na trybunę agitacji politycznej nigdy nie obiorą. Twierdzimy też, że nauczyciel bez żadnych przekonań,

to obywatel bez imienia, który nie zdoła wychować młodzieży na przyszłych obywateli".

„Coraz częstsze relegacje nauczycieli w szkołach państwowych za ich przekonania osobiste, skrępowanie ich w działalności społecznej czy organizacyjnej — to cios w podstawowe prawa obywatelskie pracownika państwowego, to triumf najwstecznlejszych żywiołów społecznych nad szkołą (!), to podkopanie najchlubniejszych tradycyj pedagogicznych Polski".

Wszystkiemu więc winna czarna ręka reakcji, która dotąd gnieździ się w Ministerstwie W. R. i O. P. mimo tak gruntownego „oczyszczenia" przez 7 już ministrów „sanacyjnych". Kiedyż jej wreszcie nie będzie? Zapewne dopiero wtedy, gdy obecni działacze ze Związku zajmą wszystkie kierownicze stanowiska...

W końcu mówi jeszcze artykuł o „chmurach" nad szkolnictwem prywatnem, gdzie dotąd atmosfera była swobodniejsza. Obecnie, od niedawna, Ministerstwo wprowadziło nowy sposób udzielania tym szkołom praw szkół publicznych: zamiast, jak dotąd, „do odwołania", prawa udzielane będą tylko na przeciąg jednego roku. Cel tego zrozumiały: stworzenie groźby stale wiszącej nad dyrekcją szkoły prywatnej i mogącej się zrealizować w razie niedość gorliwego stosowania się do życzeń władzy. Artykuł „Ogniwa" ujmuje tę sprawę specyficznie „zawodowo", niemniej jednak występuje i tu z ostrą krytyką.

Cóż mówić o innych, kiedy w Grenadzie zaraza?!

W. MAJEWSKI

NAUKA I LITERATURA

O ARMJI POLSKIEJ WE FRANCJI

(Józef Sierociński. Armja Polska w Francji. Dzieje wojsk gen. Hallera na obczyźnie. Warszawa, ul. Piękna 44).

NIEGRUBA książka formatu wielkiej ćwiartki, nasuwa przy przelotnem przerzuceniu uwagę, że jest to miła i piękna pamiątka. Każdy z owych stu tysięcy ludzi, którzy albo wojskowo służyli, albo pracowali przy organizacji tych różnych wojsk na obczyźnie, zyskuje w niej pamiątkę bardzo cenną. Jest ona bowiem przypomnieniem tych wielkich dni, jakie przeżywali wszyscy i tych wielkich zdarzeń, w których udział powiększał dusze i serca. W dzisiejszych beznadziejnie smutnych czasach przypomnienie wielkiej wojny i swojego współpracownictwa choćby najskromniejszego w tych olbrzymich zdarzeniach jest pokrzepieniem duszy.

Niech każdy, kto w jakikolwiek sposób przyczyniał się do powstawania Polski na całym szerokim świecie, z wyjątkiem okupowanego przez Niemców kraju ojczystego, zajrzy do tej książki, a z pewnością opadłe pod podmuchem brzydkiej rzeczywistości skrzydła rozszerzą się, podniosą i zapragną pełniejszego lotu. Dla ludzi złamanych życiem, rozczarowanych, zniechęconych, nawet popadłych w cynizm, ta książka zawiera czar wspomnienia dni czystych, jak pierwsze kochanie, jak kraj lat dziecinnych, nie zaburzony błędów przypomnieniem.

Bo czego tam niema! Jest oddział polski z francuskiej Legji cudzoziemskiej, przemianowany na t. zw. bajończyków. Jest praca wojskowa w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych, w Brazylji — jest armja polska we Francji i oddziały we Włoszech, są decydujące chwile II-ej brygady i korpusy w Rosji, razem z murmańską ekspedycją — jest tragedja sybirska i praca w Chinach, Japonji, a nawet w Serajewie.

A wszystko zaopatrzone w nieprzebrane wprost mnóstwo fotografij wojsk, komitetów, ćwiczeń, defilad, oraz wybitniejszych osób, które w jakikolwiek sposób zaznaczyły się przy tym wszechpolskim w całym świecie wysiłku. Zebranie takiego mnóstwa zdjęć fotograficznych jest owocem niebywałego trudu i benedyktyńskiej wytrwałości, a utrwalenie krótkotrwałych fotografij przez odbitki na kliszach należy autorowi poczytać za wielką zasługę.

Przytoczenie wielu uchwał, odezw, rozkazów dziennych, raportów i t. d. ma już wartość historyczną. Jest to zbiór umiejętnie wybranych dokumentów. Zbiór wcale niekompletny, ale bo też kompletowanie dokumentów nie może być celem takiej publikacji. Te, które są, wystarczą dla czytelnika, ażeby dzieło nabrało charakteru gruntowności, jaka jest potrzebna w dziełach popularyzatorskich. Z tego powodu książka niniejsza ma wartość nietylko dla tych stu tysięcy ludzi, osobiście zainteresowanych, ale i dla tych Polaków, którym los odmówił udziału w tym wielkim wysiłku rodaków na obczyźnie.

Dla uczestników wielką, uczuciową wartość mają opisy różnych uroczystości w Ameryce, we Francji, we Włoszech, w Japonji, bo im przypomną ów niezapomniany nastrój, w jakim sami pracowali i jakim niby atmosferą dobroczynną byli otoczeni na dalekich ziemiach wygnania. Takie podniosłe chwile to dowód, że ludzkość nie jest takiem bagnem, za jakie chciałoby się ją po wojnie uważać, to objawienie się tej wyższej, lepszej, szlachetniejszej, duchowej połowy człowieka, o jakiej dzisiaj zapomina się zbyt prędko. W szarudze brudnych dni dobrze przypomnieć sobie owe wzloty najlepszych ludzi i najlepszych pierwiastków, jakie tkwiły w duszach tych najlepszych. Bez głębokiego wzruszenia niepodobna przypominać sobie owych minionych dni wielkości, kiedy nawet pospolici zjadacze chleba dociągali się do wyższej miary i rośli na duszach w miarę wzrastania wielkich wydarzeń dziejowych.

To też każdy uczestnik owych prac i bojów powinien tę książkę przeczytać, powinien ją dzieciom przekazać jako świadectwo dobrego sprawowania się podczas wojny światowej.

Ci zaś, którzy nie byli uczestnikami owych prac, ponieważ cierpieli i działali pod okupacją niemiecką, mogą i powinni poznać to dzieło, aby sobie uprzytomnić, co robili współrodacy, rozrzuceni po całym świecie. I z tego przeglądu przejdzie do świadomości jeden pewnik: oto gdziekolwiek Polacy mieli możność wypowiedzenia swoich pragnień, tam wszędzie i nieodmiennie wołali o Polskę wolną, złożoną ze wszystkich trzech zaborów i opartą o własne morze. Od Charbina przez Amerykę i całą Europę powtarza się ten jeden refren stały, nieodmienny, wieczny.

Czy na widok tej jednomyślności nie wygląda wprost śmiesznie pretensja grupki ludzi, którzy twierdzą, że oni jedni pracowali dla niepodległości, kiedy Niemcom służyli? Czy nie kwalifikuje się sama służalczość przedajnych piór i gardeł, głoszących, że Polska jest wynikiem zabiegów jednego człowieka, a nie spełnieniem woli miljonów przez zwycięzców tej wojny? Fakty wołają głośniej, niż płatne fanfary bałwochwalców, a te fakty mówią, że gdziekolwiek tylko na całym szerokim świecie znalazł się Polak, tam wszędzie wołał o Polskę wolną, zjednoczoną, opartą o morze—tam wszędzie ofiarą pieniężną, zabiegami u polityków obcych, zaciąganiem się pod sztandary narodowe starał się przyczynić do zrealizowania tych pragnień.

Książka dobra, pożyteczna, pokrzepiająca. Powinna się znaleźć w rękach każdego Polaka.

Ale jest to książka smutna także. Co się stało z tem podniesieniem ducha, z tą ofiarnością i poświęceniem, z tym jednolitym porywem ku pięknu, słońcu, prawdzie, sprawiedliwości?

Ale jest smutek twórczy. To ten, który umie karmić wielką przeszłość żalem, a zbolałą duszę poić nadzieją, który otrząsa się z osadu, aby odnowić wielkość i dalsze życie przeżywać tak górnie, jak przeżywali wszyscy zacni chwile wojny światowej.

Oby to dzieło stało się zaczątkiem do rozdmuchiwania w płomień tej iskry zapału, którą teraz pokrywa plugawy popiół.

JAN ZAMORSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Miłośnicy łowów — choćby na małego zwierza — których sporo w Polsce, wezmą z przyjemnością do rąk pięknie wydane „Przygody Łowieckie" p. Juljana Ejsmonda, naczelnika wydziału Łowieckiego w ministerstwie rolnictwa (Nakład księgarni Św. Wojciecha, z ilustracjami Kamila Mackiewicza, str. 314),— książka ta bowiem promienieje młodzieńczą radością „stopniowego wcielania w życie i ziszczania najczarowniejszych snów", — a autor jej potrafi wykrzesać, nawet z dość zwykłych faktów i spraw żywota łowieckiego, iskry szczerej poezji.

Na tem, zarówno jak i na żywem odczuciu piękna naszej przyrody oraz barwnem odtworzeniu scen myśliwskicich, polega głównie urok „Przygód" p. Ejsmonda. Stawia go to w jednym szeregu z najlepszymi naszymi pisarzami — myśliwymi, jak Weyssenhoff, W. Korsak, Dr. St. Zaborowski i t. p. Ale to także obowiązuje! Niech że więc autor „Moich przygód łowieckich", gdy nam zacznie opisywać nową ich serję, mniej już przewleka i rozciąga każde swoje „skakanie" do głuszca i z mniejszem wzruszeniem przedstawia każde „strącanie" tego lub innego kaczora, bo to zaczyna nużyć i staje się sprawą dość powszednią.

*

„Weyssenhoff genuit Ejsmond, Ejsmond autem genuit Janta-Połczyński et fratres eius". Pomimo, iż lasy w Polsce przerzedły i zmniejszył się zwierzostan, literatura łowiecka, mająca w Hussowskim, Pasku, Kochowskim, Mickiewiczu, Wodzickim, Dygasińskim, Żeromskim tak świetnych przedstawicieli, żyje po dziś dzień i krzewi się tęgo. Jej arcymistrz, autor „Sobola i panny", wprawdzie już sam z powodu sędziwego wieku nie oddaje się łowom, jednakże rad jest sukcesom młodych myśliwych—sukcesom zarówno łowieckim, jak i literackim. Pamiętamy jego piękną przedmowę do zbioru nowel Juljana Ejsmonda „W puszczy". Obecnie Ejsmond, z rąk Weyssenhoffa otrzymawszy niejako senjorat łowiecki w literaturze polskiej, sam z kolei pasuje młodych kolegów na „rycerzy świętego Huberta". Jego przedmowę do książki Aleksandra Janty-Połczyńskiego „O świcie" (Poznań. Fiszer i Majewski. Księg. uniwersytecka) warto przeczytać; stwierdza w niej autor „Bajek", że „całe piśmiennictwo polskie wyrasta jak kwiat z ziemi": z ziemią związane od samych początków, od Reja i Kochanowskiego, winno mieć nadal ziemię za swą podstawę a przyrodę za karmicielkę. „Złe miasto nie zdołało zabić wsi spokojnej, wsi wesołej. Lampa elektryczna, choćby najpotężniejsza, nie zaćmi nigdy słońca!..." Same utwory Janty-Połczyńskiego, pomimo widocznego miejscami nalotu młodzieńczej patetyczności, tchną jednocześnie i młodzieńczą świeżością. Młody autor kocha przyrodę i umie na nią patrzeć; poniesiony uczuciem i wrażeniami optycznemi, daje częściej impresje liryczno-opisowe, niż opowiadania — na nazwę noweli zasługuje przeto tylko opowiadanie p. t. „Zmora". Na podstawie tego debiutu można mieć o p. Połczyńskim i jego talencie piękne nadzieje.

*

Wzmagający się w Polsce ruch wychowawczy i oświatowy znajduje wyraz w czasopiśmiennictwie specjalnem. Jednocześnie nadesłano nam dwa kwartalniki. Zaczął wychodzić w tym roku „Kwartalnik Pedagogiczny" będący organem Sekcji pedag. Stow. Chrześć.-Narodowego nauczycieli szkół powszechnych. Zeszyt drugi, teraz nam nadesłany, przedstawia się bardzo solidnie. Taka np. rozprawa prof. Ludwika Jaxy-Bykowskiego „Współpraca przyrodnika przy wyrabianiu charakteru" jest cennym nabytkiem literatury pedagogicznej, trwałej wartości pracą. Piękne też są prace prof. St. Baley'a „O próbach mierzenia trudności zadań", M. Wachowskiego „Wychowanie narodowe w okresie niewoli politycznej", I. Szteina „O szkolnictwie na PWK". Wiele sprawozdań przytem i informacyj. — Prenumerata półroczna 5 zł. Adres: Warszawa, Senatorska, 19.

Drugi kwartalnik, który mamy na myśli, to „Oświata Polska" organ Wydz. Wyk. polskich towarzystw oświatowych. Adres: Warszawa, Marszałkowska 153 m. 6. Cena za półrocze także 5 zł. Zesz. III z rb. poszczycić się może takiemi rozprawami, jak: Tad. Krzyżanowskiego „Zagadnienia kulturalno oświatowe na kresach wschodnich", R. Świeżyńskiego „Uniwersytety ludowe w Danji", K. Solskiego z Kanady o Polakach tamtejszych i wiele innych, związanych z pracą bieżącą. Szlachetny, napawający otuchą prąd pracy twórczej udziela się z tych wydawnictw czytelnikowi.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Denis Talazard, bohater *„L'Arène Brûlante"* (Plon éedit.) jest kompozytorem. Temat tej powieści pani Jean Balde stanowi konflikt sentymentalno-artystyczny, jaki rozgrywa się w duszy muzyka. Talazard bowiem, pociągnięty urodą fizyczną Giny, poślubia ją. Ale żona nierozumie jego natury artystycznej, a co więcej utrzymuje, iż nie ma talentu, podczas gdy Anna Elissay, znana wirtuozka, stara się w duszę Talazarda wpoić silne przekonanie o nim, chroniąc go w ten sposób od zniechęcenia i dodając odwagi do pracy. Dzięki zresztą jej zabiegom w Ameryce, w programie przez nią wykonanym, figuruje sonata Talazarda, dzięki niej, zostanie potem zorganizowany w Paryżu festiwal jego opery. Kompozytor staje się z dnia na dzień sławnym. Gina jeżeli jest z jednej strony zadowolona z powodzenia męża, to jednakowoż przerażona wpływem, jaki Anna ma na Denisa. Anna zdaje sobie doskonale sprawę z uczuć Giny; stara się usuwać z ich z życia, żeby nie spowodować dramatu. Autorka zresztą nie mówi nam, czy rzeczywiście kocha on kompozytora; nie mówi również, czy ten ostatni porzuci swą żonę, ale odgadujemy raczej, że łączność artystyczna oparta na uczuciu szczerem, jakkolwiek bez gwałtownych porywów, wybiła już na ich duszy niezatarte piętno.

*

Tytuł książki p. Gabrjela Reuillard'a jest *„L'Amour"* (Baudinière). Jednakowoż powieści tej główną osnową jest miłość ojcowska. P. Gérard widzi bowiem córkę swoją ukochaną, Sylvie, coraz bardziej oddającą się melancholji, a wreszcie podkopaną chorobą. Wówczas biedny ojciec dla wprowadzenia trochę rozmaitości i słońca do jej życia, wymyśla intrygę miłosną pomiędzy Pierre, żyjącym w Kanadzie od czasu wojny, a Sylvie. Pod wpływem listów tego ostatniego a pisanych na maszynie przez starego ojca, Sylvie odżywa, ale na krótko, bo choroba nie darowuje i wówczas, świadoma swego stanu, zwraca mu jego słowo, dziekując za tyle szczęścia, które jej dał. Trzeba zaś wiedzieć, ze Sylvie ma lat przeszło 30, podobnie jak cały szereg jej znajomych, a żadna męża znaleść nie może. P. Reuillard utrzymuje zresztą, że brak równowagi u kobiet, to gorączkowe zajmowanie się całym szeregiem problematów i oddawanie się coraz to nowym karjerom, ma za punkt wyjścia ten fakt brutalny, że przed wojną było ich 3 na jednego mężczyznę, a obecnie przypada 10. Kobieta bowiem może zmienić w swej egzystencji wiele rzeczy, ale nie natury, która domaga się o swoje prawa, prawa matki.

*

Znany orjentalista p. Grousset przygotowuje nową i bardzo ciekawą pracę p. t. *„Sur les traces de Bouddha"*.

*

Claude Farrère, który był przyjacielem i powiernikiem Loti'ego pracuje nad artystyczną o nim biografją.

*

Wydawca Bernard Grasset zeszłego roku wydał bardzo ciekawą książkę *„Remarques sur l'action"*, a pozatem *„Chose Littéraire"*, w której w sposób ogromnie charakterystyczny odtworzył dzisiejsze stosunki autorskie i księgarskie oraz wymagania publiczności. Opublikuje on niebawem *„Psychologie de l'immortalité"*.

SZTUKI PLASTYCZNE

KIERUNKI I TALENTY

NA trwającej obecnie w salach „Zachęty" wystawie „Bractwa św. Łukasza" można przestudjować, między innemi, zagadnienie kierunków i talentów. W czasach wzmożonego życia zbiorowisk ludzkich i wielkich poruszeń tłumów uwaga ogółu zwraca się łatwiej ku kierunkom sztuki ze szkodą dla talentów indywidualnych, często pomijanych i zapominanych — wtedy zwłaszcza, gdy ich do żadnego kierunku tłumnego przypisać nie można. Odbija się to i na wewnętrznem życiu artystycznem, a to w ten sposób, że artyści coraz chętniej łączą się w grupy, które siłą rzeczy dążą do narzucania jednostkom swoich idej zbiorowych, W ostatnich dziesiątkach lat ta

tłumność życia artystycznego przybrała rozmiary groźne dla sztuki, bo nawet zgóry tworzyła teorje, według których twórczość rozwijać się miała. Powstawały niezliczone „izmy", a z nimi ciasne fanatyzmy, które niejeden talent łamały przez to, że mu żyć nie dały.

Jakkolwiek w formie o wiele od „zimów" współczesnych łagodniejszej, nacisk zbiorowości na jednostki istniał od początku również i w „Bractwie św. Łukasza". Wyraził się on w kulcie dla średniowiecza malarskiego, dla kompozycyjności obrazu z pewnemi klauzulami równowagi kompozycji, jej zamknięcia, symetrji linji i t. p. oraz w nieufności, jeśli nie w niechęci do krajobrazu współczesnego z jego bogatą wielobarwnością, z jego fragmentaryzmem i swoistą poezją. Nacisk ten z łatwością da się prześledzić na obecnej wystawie „Bractwa", albowiem ślady jego widoczne są w pracach tych artystów, którzy — świadomie czy bezwiednie — z nim walczyli, ulegali mu chwilowo, zawierali z nim przymierza i znowu z nich się wyłamywali. Mam tu głównie na myśli panów Jędrzejewskiego i Wydrę — dwóch w „Bractwie" urodzonych i „niepoprawnych" krajobrazistów. Ci dwaj probowali kompozycyj t. zw. „figuralnych", ale czując się w nich nieswojo, przeszli całkowicie na krajobraz, a za punkt wyjścia wzięli najdojrzalsze zdobycze pleneru i impresjonizmu. Zdaje mi się, że wywołało to w reszcie Bractwa pewną opozycję moralną i spory ideowe, ktore, zresztą zawsze są dobroczynne.

W podstawie takich sporów tkwi zazwyczaj błąd nieuznawania suwerenności talentu ponad teorje i kierunki. Lecz w gruncie rzeczy istnieją tylko talenty, które własnej sztuce własne prawa dyktują. Kierunki zaś i teorje mogą się wykazać zaledwie bardzo ogólnikowemi prawami i nakazami, które w rękach samodzielnego talentu ulegają nieraz nieoczekiwanym, a nader żywotnym przekształceniom. Kierunkiem i teorją legitymują się tylko średnie lub nijakie zdolności. W każdym danym kierunku gromadnym, (o ile jest życiowy, a nie sztuczny) istnieją talenty odrębne, które tylko dla łatwości i orjentacji co do paru podstawowych cech zaliczamy do kierunku, ale są one zgruntu samodzielne. Właściwie mówiąc, krzywdzimy Chełmońskiego, gdy nazywamy go plenerzystą. On jest tylko Chełmońskim, co jest chyba najwyższą dla jego sztuki odznaką. Tego samego kierunku inny wielki talent będzie Fałatem, jeszcze inny — Stanisławskim, jeszcze inny — Wyczółkowskim — i tak dalej. Pomimo jednego „kierunku" nikt tych wielkich artystów nie pomiesza i nie zamieni.

W swoim czasie plener i impresjonizm wniosły do sztuki jedną, wtedy zaniedbaną, a wiecznotrwałą wartość bezsporną, mianowicie — wielobarwność. Ponieważ do tej wartości dorzucono z biegiem czasu wiele doktryn i wad, przeto wkońcu oba kierunki wynatarzyły się i zamarły. Lecz nie zamarła wartość, na której od początku się wspierały — i oto dziś, bodaj w samem „Bractwie św. Łukasza", które się niedawnej przeszłości przeciwstawia, ta wartość odradza się z całą potęgą swojej prawdy wieczystej. „Świat jest wielobarwny! Świat drga i wibruje mnóstwem żywych kolorów, które mówią i śpiewają i budzą dusze ludzkie do poezji!" — tak wołają na wystawie „Bractwa" krajobrazy panów Jędrzejewskiego i Wydry. Nie będę krzywdził obu tych artystów nazwami pleneru lub impresjonizmu. Oni są sobą, zaczynają (bo jeszcze młodzi) być sobą, a że są wielobarwni, że prace ich kipią żywością i niemal ruchem barw, że ukochali przyrodę w krajobrazie, a nie w postaci ludzkiej, to z tego nikt im zarzutu robić nie może. Inna to sprawa, że obaj powinni pilnować się bacznie, aby nie wpaść w błędy i doktryny, które za czasów impresjonizmu do wielobarwności i do krajobrazu się przyczepiły. Rysunek, układ, budowa obowiązują każdego malarza. Lecz tak samo obowiązuje harmonja kolorystyczna i wyraz barw.

Ze strony prawowiernej można uczynić taki tylko ogólny zarzut krajobrazistom „Bractwa", że prace ich są „fragmentaryczne". Lecz jest to określenie dość mgliste i rozciągłe. Jeżeli „Krajobraz z Łucka" p. Jędrzejewskiego jest fragmentem, a nie całością w sobie skomponowaną i zamkniętą, to w takim razie i „Wygnańcy" p. Zamoyskiego także są fragmentem, bowiem i tę kompozycję można nie tylko w linjach i kształtach krajobrazu, ale nawet w układzie postaci i grup ludzkich przeciągnąć wdal — poza ramy obrazu. Jakiż, nareszcie, odnajdziemy bezwzględnie pewny sprawdzian zamknięcia kompozycji, lub jej fragmentaryzmu? Co do mnie, sądzę, że oba obrazy są równie dobrze zamknięte i skomponowane. Co prawda, wiele innych krajobrazów tej wystawy stoi jeszcze raczej na poziomie studjów — pod względem układu i budowy. Ale czy nie są również studjami liczne głowy z zaciekłym realizmem malowane? Nagi realizm sam przez się jeszcze stoi na poziomie studjum. Lecz z drugiej strony studjum ma przecież w sztuce także swoje prawa obywatelstwa.

Ostatecznie najlepiej uczynimy, gdy w sądach o sztuce będziemy jednej nadewszystko zasady przestrzegali: nie naginania talentów do kierunków i teoryj. Należy nawet wszelkie nazwy kierunków i teoryj wyrzucić precz. Niema pleneru. Niema impresjonizmu. Niema żadnych „izmów". To zmusi nas do poszukiwania za każdym razem i dla każdego talentu określeń rzeczowych, ścisłych, w danym wypadku jedynie charakterystycznych i trafnych. Trudność i rozwlekłość zostaną tu okupione przez rzetelność i głębokość. Otrząśniemy się przytem z nałogów stadności i gromadności w sądach o sztuce, a zatem i w widzeniu i w odczuwaniu dzieł sztuki. Sztuka na tem wygra także, bo prawdziwa jej wartość na talentach opiera się, a nie na kierunkach.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

SPROSTOWANIE

W związku z artykułem „Rodowód", umieszczonym w Nr. 50 „Myśli Narodowej" z dn. 17 listopada 1929 r., proszę na podstawie artykułu 32 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 10 maja 1927 r. o prawie prasowem — o wydrukowanie w najbliższym N-rze swego pisma poniższego sprostowania:

Nie odpowiada prawdzie twierdzenie, jakoby „Instytut Badania Najnowszej Historji Polski" został „świeżo założony". „Instytut" ten, którego statut został zatwierdzony pismem Min. Spraw. Wewn. z dnia 7-go maja 1923 r., istnieje i rozwija działalność archiwalną oraz wydawniczą od lat 7-iu.

Nie odpowiada prawdzie, jakoby „Instytut" był założony „niewątpliwie przy pomocy funduszu państwowego". „Instytut" został założony przez grono osób prywatnych i ich staraniem jest utrzymywany.

Nie odpowiada prawdzie twierdzenie, jakoby akcja „Instytutu" czy jego organu, „Niepodległości", była „kierowana przez masonerję". „Instytut" i „Niepodległość" nie są zależne od żadnej organizacji politycznej. Redakcja „Niepodległości", organizując współpracownictwo, zwróciła się z zaproszeniami do pisarzy wszelkich kierunków, nie wyłączając demokratyczno-narodowego. W prospekcie zostały umieszczone nazwiska tylko tych, którzy obiecali przyczynki do najbliższych zeszytów „Niepodległości"

LEON WASILEWSKI
Przewodniczący Zarządu „Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski"
i Redaktor „Niepodległości"

Warszawa, dn. 20 listopada 1929 r.

OFENSYWA

„MŁYNARZ I JEGO CÓRKA"

KRAKÓW dołącza się do Polski!

Ciepłe wiatry idą od Południa. Radosne nowiny od Krakowa! Stolica Piastów, Jagiellonów i Popielów zaczyna się gwałtownem tempem polszczyc. Nie chce być dalej „Zagłębiem Saarego" ale chce wrócić do tradycyj Zygmunta Starego, kiedy to Kraków jeszcze był polskim, a żydowinowie mieszkali sobie w swojem miasteczku Kazimierzu (nad Wisłą). Młodzież akademicka, jak zawsze w dziejach tego prastarego *emporium*, tak i tym razem pierwsza dała hasło. Nie o żadne trupy tam zawrzała walka, ale o żywych. W Pradze i w Wiedniu może o trupy, ale w Krakowie chodzi o żywych, a mianowicie o to, aby żywym Polakom zrobić więcej miejsca w dawnej stolicy królewskiej. Dotychczas tam tylko zmarłym Polakom dobrze się działo. Śliczne im pogrzeby wyprawiali, „żeby żydy miały na co patrzeć". Kiedy Malczewski umarł, powtarzano sobie aforyzm: „Kraków odżyje, bo będzie miał nowy pogrzeb" Poza tem marazm i przechodzenie wszystkiego w ręce żydowskie. Opinją publiczną niepodzielnie władał „pajac z pałacu". Ciągle jeszcze tęskniono do guldena, lekceważono „złoty" (warszawistów) a Rubel dyrygował sumieniami.

Teraz już się zaczyna zmieniać i to mocno. Jeszcze Oleandruty tu i ówdzie rządzą, ale Oleandry już wychodzą z mody. Kraków się budzi i dąży do przyłączenia do Polski, oby do Polski Zachodniej. Podczas manifestacyj studenckich, cała sympatja ludności krakowskiej stała po stronie Polaków. Bardzo piękną postawę zajął prezes Akademji Umiejętności prof. Kostanecki. Również mocno się przeciwstawił nawale rektor Wyższej Szkoły Handlowej, prof. Rolland.

Jak można było przewidzieć Oesterreicherami starej daty okazali się obaj bracia Estreicherowie, prof. Tadeusz z przekonania, Stanisław, żeby zatrzeć szybko plamę wystąpienia przeciw Grzybowskiej „Niepodległości"...

Również za omnipotencją semicką i krajaniem trupów wyłącznie chrześcijańskich i aryjskich wypowiedzieli się inwalidzi Enkaenu:

Madziar honorowy prof. Dąbrowski, oraz przemiły gaduła i wieczysty kandydat na każdą tekę prof. Kumaniecki: Ci reprezentanci Ochs-fordu stoją zawsze po stronie Rap-aportowania, dawniej aportowania Widniowi, teraz aportują Jerozolimie... „Dla chleba, panoczku, dla chleba..."

Wogóle atoli Kraków już zaczyna się mocno i intensywnie polszczyć. Jeszcze za dużo szmugluje się konfekcji z Widnia, jeszcze tandetne filmy z Harry Liedkem i Lili Dagower są najpopularniejsze, jeszcze po kawiarniach stosy niemieckich „*blattów*", jeszcze „*Deutsche-Bildung*" przeważa, jeszcze niemieckie książki sprowadzają wagonami... no i jeszcze raz na rok w Zaduszki i na dzień Wszystkich Świętych teatr miejski pietystycznie, tradycyjnie, obligatoryjnie, obowiązkowo musi dla ostatnich krakauerów wystawiać melodramat wideński „*Müller und sein kind*" Raupacha. Taki był *usus* w całej Mitteleuropie przed wojną, w każdem wielkiem i małem mieście niemieckiem. I taki w Krakowie: „*Müller und sein kind*".

Melodramat ten zeszedł obecnie z afisza wszystkich teatrów niemieckich. Ostał się tylko... w jednym *Alt-Krakau*, Dyrektor Trzciński trzyma się wiernie tradycji.

Oznaką, że Kraków zrywa ostatnie pępowiny z macierzy „*Deutsche Bildung*" będzie to, że na przyszły rok teatr imienia Słowackiego już nie zagra: „*Müller und sein kind*" Wtedy to i oficer *Polonia Restituta* dr Rubel pójdzie w odstawkę. W oleandrach zaś stanie popiersie Paderewskiego z wdzięczności za pomnik Grunwaldzki.

Doczekamy tego, doczekamy! Tylko cierpliwości!

WODOCIĄG ZATKANY

FUNKCJONOWAŁ wcale, wcale. Całe lata po odkręceniu kurka lała się woda, coprawda, ani zimna ani gorąca, miejscami nieco mętna i brudnawa, ale ostatecznie się lała i mogła służyć do u—żydków domowych „liberalnego - oświeconego". Podczas wojny europejskiej był takim sobie „obserwatorem". Za karabin nie chwycił, do legjonów nie poszedł, tylko „obserwował". Obserwował w ten sposób, że okupantom niemieckim służył cacanie na czterech łapkach i wyszydzał Belgję, Francję, Anglję, Italję, Serbję, Rumunję, „Endecję" i Komitet Narodowy. O Beselerze pisywał ciepło i z kurtuazją, a o Dmowskim z bezgraniczną pogardą. Gdy się już wojna kończyła, wybrał te swoje aroganckie pisaniny, (usunąwszy poprzednio najobrzydliwsze serwilizmy) i wydał w tomiku. W nagrodę za to wzięto go na czas jakiś do M. S. Z. Od tego czasu tytułują go niektórzy: radcą i od tego czasu, zdaje się, pobiera emeryturę. Potem p. Wassercug został Wasowskim i przyjął wiarę katolicką. Przyjąwszy wiarę katolicką zaczął namiętnie protegować Marjawitów, Hoduraków i wszelkie schyzmy. Z obserwatora zrobił się „Widzem". Jego pismo tak samo zmieniało swoje tytuły jak p. Wassercug nazwiska, wyznania i pseudonimy. Przez dziesięć lat zlewał na szpalty swego pisma całe upusty mądrości, doświadczeń, erudycji, swady, humanitaryzmu i humanizmu. Najpierw cytował rzymskich i greckich klasyków, potem staropolskich, potem krakowski „Czas", a co czas jakiś ustęp z Janeta: „*Les Obsessions de la psychestenie*" o nietolerancji. Starał się być zawsze europejski, a był nieco płocki a nieco nalewkowaty, ale w każdym calu *Schöngeist*, Grojseszyk i... „Marmurek". Ulubione pozy p. Wassercuga były: wróg kary śmierci, społecznik zatroskany o niedolę mieszkaniową warstw robotniczych, koncyljator, medjator stojący ponad polemikami i zachęcający Lewi-cowców do zgody.

W ostatnich czasach kurek wodociągu nieco się obluźnił. Pan Wasowski pisał coraz więcej, nieco gorączkowo i kurczowo, zdradzając objawy niezadowolenia i zniecierpliwienia. Zaczęła go Warszawa nudzić i denerwować, a równocześnie chciał się okazać niezastąpionym i gorliwym. Domagali się od p. Wasercuga żeby został „faszystą" a to się jakoś nie udawało. Apostołował niby: absolutyzm byle oświecony, ale niezgrabnie i dwulicowo. Wskutek tego poszedł na czarną listę i został usunięty poza nawias aż do dalszego rozporządzenia.

Wodociąg tedy zatkany. Fejletonów „Widza" na razie niema a co więcej i gorzej nikt tego jakoś nie „spostrzega", nikt tego braku nie widzi, nikt nie tęskni i nie upomina się, wielbiciele i wielbicielki cicho, sza. Tyle razy zapowiadał nasz Joselczek upadek i koniec „Endecji" a tu przyszło i jego biedaczka... zlikwidowali.

Nie traćmy atoli nadziei. „Nie umarła dzieweczka, jeno śpi". *Dormitat Homerus*. Powinna była właściwie w jego obronie wystąpić: „Liga Obrony Człowieka i Obywatela". Ale nie wystąpiła. I nikt go jakoś nie pożałował. Tedy my go tu pożałujemy. I przypomnimy pani Publice, Memento Moryci

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Są dwa punkty bardzo śliskie: 1) kwestja użytku robionego z podatków i 2) kwestja niekorzystnego układu z Niemcami. Śliskie — od potu, roszącego pracę wytwórczą i zarobkową w ciężkich warunkach ekonomicznych i od krwi przelanej w tysiąco-letniej walce z nawałą germańską.

Żeby te drażliwe punkty wyminąć, „Sanacja" doradza nie zwoływać Sejmu lub go odraczać. Natomiast koncentruje uwagę na trzeci punkt drażliwy, mianowicie na konieczność reformy konstytucji w celu oddania władzy rządowi, nie krępowanemu parlamentem.

— Czy to pomoże? — pytają ci, od których się żąda tego mandatu.

— Oczywiście, bo wtedy tamte punkty przestaną być śliskie i drażliwe — nikt ich nie dotknie.

*

Nasłuchaliśmy się poufnych i — powiedzmy — bardzo poufnych wyznań o tem, jak to było ładnie na Grzybowie 25 lat temu. O tem, jak to kochany Perl decydował, a kochany Kwiatek wykonywał,—o tem, jak to kule, niby osy, bzykały po kościele podczas Mszy świętej, o tem, ile to ludzi padło trupem, a ile setek aresztowano. Zostało na długo miłe wspomnienie tego paradnego dowcipu historycznego. Humor tego epizodu polega na tem, że obaj wymienieni bohaterowie byli żydami. Prasa żydowska, która dotychczas Kwiatka taiła, teraz podaje jego życiorysy. Pytanie: Gdyby takiego czynu dopuścił się jaki nasz Kwiatek w bóżnicy—czy odważyłby się kto wieńczyć go laurem?

*

„Słowo" wileńskie pisze:

„Tajemniczość, ukrywanie planów jest największą siłą obecnego systemu rządów... Od czasów Marji Ludwiki do Beselera, każda sprawa polska musiała być wypaplana. Wreszcie mamy system rządów, który stworzył w Polsce po raz pierwszy od wieków polityczną dyskrecję"...

Jednem słowem od Beselera polityka polska stanęła na nogi. Ale jeśli dyskrecja, to pocóż ujawniono układ niemiecko-polski?

*

„Sanacja" ruszyła na podbój umysłów z odczytami. Przyszły takie czasy, że sama siła mechaniczna nie wystarcza i trzeba przekonywać i propagować. Na początek, na próbę jak z Arki Noego puszczono p. Juljusza Kaden-Bandrowskiego z efektownym odczytem o kobiecie.

— Czego chce p. Bandrowski od polskich kobiet? Czy żeby wszystkie były Lenorami, a Polska lupanarem?

— Niewiadomo, bo nigdzie nie mógł odczytu skończyć...

Na to widać była potrzebna próba. Bo jeśli taki genjusz nie może tak miłego tematu rozwinąć, to inne trzeba wygłaszać tylko w gronie przyjaciół za zaproszeniami.

Nie wiadomo jeszcze, kto wystąpi z odczytem o konieczności pozostawienia Niemców w Polsce; o tym temacie jakoś cicho.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 2545. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 1290.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI — Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. — PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM